№ 20. Warszawa, dnia 18 (6) Maja 1889 r. Rok IX.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"** (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Złota Nr. 23.**
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



## POLITYKA.

### SZLACHETNA NAIWNOŚĆ.

Jeżeli nawet początkowo dziwnym wydawał się Europie ten szorstki i ze wszystkich szlachetniejszych słów ogołocony język, jakim się odezwał do niej ze swego wysokiego stanowiska ks. Bismark, to dziś już, uzbrojona tak dalece, że omal sztyletów w oczach nie nosi, przywykła do tej mowy. Od lat wielu bez odrazy a z podziwem słucha ona tych strasznych wynurzeń i rozmyślań, które dawniej dyplomaci kryli w głębi swych głów lub w najtajniejszych rozmowach. Dziecku czasów naszych, niepamiętającemu dawniejszych, wydaje się nietylko naturalnem, ale nawet wysoce mądrem i politycznem, gdy kanclerz niemiecki, unikając wszelkich osłonek, wobec parlamentu a więc całego świata dowodzi: potrzeba nam jeszcze tylu a tylu marek, karabinów, żołnierzy, bo gdy zaczniemy się mordować z kimkolwiek, musimy posiadać siłę równą lub przewagę; zapomnijmy o wiedzy, sztuce, dobrobycie, ideałach, tylko pamiętajmy o zwycięztwie w rzeziach wzajemnych; jeżeli ten nas napadnie, to uderzymy go taką pałką, jeśli ten, to — taką; przed rokiem omal wszyscy nie zaczęli się bić, teraz spokój, ale kto wie, czy jutro nie będziemy zmuszeni stanąć do boju; prawdopodobnie ci utoczą krwi tym, a tamci— tamtym. I tak dalej idzie to rozumowanie, przy którem ledwie pamiętać można o czasie i miejscu, w którem się ono rozlega. Zdaje się bowiem, że to głos zabłąkany na szczyty cywilizacyi z jej nizin.

Z mniejszą energią i pewnością siebie, ale z równą szczerością powtarzają za mistrzem jego uczniowie. Nieraz w Izbach sejmowych Europy odbija się ona jako zwykły, nikogo prawie nierażący głos wieku. Wojna, zbrojny pokój, armie, prawdopodobieństwa starć, rezultaty morderczych narzędzi — cały ten orszak wiedźm przechodzi z dzikiemi i złowrogiemi twarzami. Czy temu korowodowi można przeciwstawić coś bardziej odeń odskakującego nad tę procesyę bladych a idealnych mar, które w niknących obrazach przesunęły się podczas obrad „towarzystw pokoju" we Włoszech? Trudno. Szczegółowo tych „głosów wołających na puszczy" powtarzać nie będziemy — wystarczą nam ich hasła. Naturalnie *uchwalono*, że Europa powinna się rozbroić, że armie powinny być zredukowane do zastępów obronnych, że spory międzynarodowe mają być roztrzygane polubownie, a nad całym światem powinien rozpostrzeć swe skrzydła anioł pokoju. Jak te uchwały przyjęto w Niemczech, Austryi, Francyi, a nawet w samych Włoszech? Serdecznym śmiechem. Bismark, jeżeli one do jego uszu dobiegły, pomyślał lub powiedział zapewnie, że procent głupców jest nieco za duży. Niewątpliwie, tego rodzaju pragnienia uznaje on za szczyty nierozumu. A niech każdy, kto bodaj w części nasiąkł wpływami tej epoki, spojrzy w siebie i zauważy, czy przeczytawszy w gazetach owe postanowienia „towarzystw pokoju," nie uczuł skłonności do uśmiechu? Czy nie przebłysnęła mu po głowie myśl: jakie to naiwne!?

Rzeczywiście na tle swego czasu obrazek taki rysuje się barwami naiwności, ale szlachetnej, która potrzebuje tylko odmiennych, idealnych ram, ażeby się stała rzeczywistością piękną i rozumną. Niewiele umysłów zdoła się odosobnić od swego otoczenia, nie wchłonąć w siebie jego pierwiastków i nie przystosować do nich swej natury. Pomimo tedy wszystkich narzekań na ciężary i straty, większość w społeczeństwach europejskich zmilitaryzowała się i lepiej rozumie Bismarka, niż Kanta. Ale i w duszach, okrytych nalotem zwyrodnienia myślowego i uczuciowego, sączą się nigdy niewysychające źródełka tych pragnień, które w odkrytym potoku popłynęły na obradach towarzystw włoskich. Więc choć śmiejemy się z ich naiwności, jednocześnie dostrzegamy w niej czystość. Każdy z takich wieców jest jak gdyby wentylatorem dla zaduchów, czadów i gazów zabójczych, które dobywają się z Niemiec i rozpościerają po Europie. Często mądrość wydaje nam się głupią nie dlatego, że jej nie pojmujemy, ale dlatego, że zbyt daleko wybiega po za granice teraźniejszości. Więc narodowi, który radby natychmiast posiadać pełną dłoń piorunów, cudacznem musi się wydawać życzenie, ażeby na niebie zabłysło niezasłonięte chmurami słońce. Ale czy pioruny utrzymują życie, czy słońce? Może też za lat dziesięć lub sto, może później jeszcze, ale niezawodnie przyjdzie ten czas, kiedy ludzkość chętniej powracać będzie do wspomnień o przebłyskach światła, niż o huku gromów. Wierzy w to znakomity pisarz włoski Bonghi, skoro naraził swą powagę na śmiechy w orędowaniu szlachetnie naiwnym towarzystwom pokoju.

### TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gazety, zmuszone codzień zapełniać swe kolumny wiadomościami politycznemi, rzeczywiście kręcą bicze z piasku. Ani bowiem podczas świąt uroczystych, ani podczas skwarów letnich nie zwykła w tej dziedzinie panować większa cisza. Żagle na masztach opadły, wichry odleciały, nawet bulanżyzm już nie roznosi słupów kurzu i liści. Jak gdyby pod zaklęciem czarodziejskiej palmy pokoju, zatkniętej na wystawie paryskiej, wszystko powoli przyjmuje jego barwę i jego tchnienia. Często najlepszą miarą jest sąd wrogi. Niemcy, które ze śmiesznem zadąsaniem i pychą usunęły się od udziału w wystawie, teraz zwiedzając ją

ukradkiem, mimowoli łącząc się z powszechnym chórem zachwytu.

Na tronie rumuńskim siedzi już Hohenzollern, jego następcy ma być dana za żonę Hohenzollerówna; druga dostanie się królewiczowi greckiemu; ponieważ zaś w Bułgaryi panuje książę niemiecki, a Bośnią i Hercegowiną oraz słowianami austryackimi rządzi również niemiec, przeto gazety ruskie występują ostro przeciwko temu obsiadaniu tronów bałkańskich przez orły germańskie. Uważają one ten napływ za robotę ks. Bismarka, który jak kukułka wszędzie, nawet w gniazdach obcego gatunku, składa swoje jajka i wylęga sobie sprzymierzeńców. Protest ten biegu rzeczy nie zmieni i napływu niemieckiego nie zatamuje. Przed ostateczną rozprawą dwu potężnych żywiołów, która oddzieliłaby ostatecznie „sfery ich interesów,“ ten panować będzie, który wyrobił sobie zwierzchnictwo wielowiekowymi zabiegami i tryumfami. W obecnych warunkach i stosunkach może być tylko tak, jak jest.

Dnia 19 b. m. ma się znaleźć w Berlinie król Humbert. Nie przypuszczamy, ażeby on tam wyjechał z wielką przyjemnością i chęcią, niepodobna bowiem, ażeby mu nie udzieliły swego nastroju, albo przynajmniej nie zrobiły na nim wrażenia coraz liczniejsze i głośniejsze w narodzie objawy nienawiści do Prus a sympatyi dla Francyi. W poprzednim tygodniu odbył się szereg wieców, protestujących przeciwko troistemu przymierzu i zamykanych okrzykami na cześć Francyi. Ich echa przykrem uczuciem odbiły się w duszy króla i może sharmonizowały się z wewnętrznym a utajonym głosem jego serca. Bo juści chyba ukochanym w Prusach szczerze on nie jest i nieraz zapewne zwierzył się Crispiemu, który go z niemi ożenił, że to małżeństwo z rozumu jest związkiem bardzo dokuczliwym.

W Izbie włoskiej zainterpelowano rząd, co myśli o kongresach katolickich. Crispi odpowiedział krótko i rozumnie: niech ta rzesza przywraca ustami i piórami władzę świecką papieżowi, a my święćmy pamiątkę zdobycia Rzymu; uchwały zjazdu wiedeńskiego były wyrazem prywatnych życzeń pewnej części kleru; rząd austryacki nie ma z tym wiecem nic wspólnego i zapewnił nas, że kwestyę rzymską uważa za wewnętrzną sprawę włoską.

Telegraf donosi, że we Włoszech północnych chłopi powstali i niszczą własność prywatną. Natury tego rozruchu szczegółowo jeszcze nie znamy.

Dotąd mamy tylko treściwy telegram bez szczegółów, ale jakiekolwiek one będą, rozwój cywilizacyi pozyska w reformie kolejowej węgierskiej olbrzymią dźwignię. Mianowicie od 1 sierpnia ma być urzeczywistniony projekt obniżenia opłat za przejazd na wzór pocztowych. Całe Węgry mają być podzielone na 14 stref a w każdej z nich cena biletu nie będzie przechodziła 10 krajcarów.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Z FRANCYI.

*Paryż, 10 maja.*

Jubileusz i wystawa.

Co za maj, jaka wiosna! Zda się, że Boulanger uniósł wraz z sobą do Anglii wszelkie swary polityczne i powikłania wewnętrzne, zapomniano o świeżych wyborach w Saint-Ouen, na rządzący zaś gabinet republikański spłynął jakby jeden promień przedstuletniego blasku i mocy. Rzeczpospolita, skąpana we wspomnieniach, odmłodniała (nie chcę mówić, że to tylko róż i bielidło). Po deszczach i chłodach zapanowało ciepło słoneczne, drzewa zaś, krzewy i ziemia ubrały się w barwę nadziei. Na tem tle rozpostarł się na polu Marsowem olbrzymi bazar międzynarodowy, świadczący przedewszystkiem o niespożytych zasobach francuskiego geniuszu, o francuskiej pracy, bogactwie, o bujnym rozkwicie jej przemysłu i sztuki, sztuki, która przemówiła tu niesłychaną potęgą i różnorodnością pomysłów budowniczych, świeżemi zdobyczami artystycznego pędzla, bazar — powiadam — który zgromadził na polach wystawy wszystko, co zdolna jest wytworzyć kultura całego świata, rzucił wiele światła w bliższą i dalszą przeszłość pracy ludzkiej, otwierając jej nowe widoki na przyszłość... Dnia 5 maja, w setną rocznicę zgromadzenia się Stanów generalnych i 6-go, w dniu otwarcia wystawy, cały Paryż spłonął jednem morzem blasków i przybrał się w trójbarwne chorągwie. Choćby ognie, które tu zapalono, były sztuczne i kłamliwe, choćby ten obraz był tylko mamidłem, a takim przecie nie jest, choćby to był tylko piękny sen nocy letniej — to takich snów niewiele, a mniej jeszcze kątów na świecie, gdzieby snuć można było przędzę podobnych urzeczywistnionych rojeń.

Przechodząc do prostej powieści, która się jednak sama w hymny układa, parę słów o uroczystości wersalskiej i parę słów wstępnych o wielkiem igrzysku na polu Marsowem.

W Wersalu, dokąd wraz z Senatem, Izbą, przedstawicielami władz udał się Carnot, otoczony oddziałem kirasyerów, obchodzono setną rocznicę historyczną. Na domu pamiątkowym położono odpowiednią tablicę z napisem i wypowiedziano mowy. Prezydent rzekł: „Pierwsza myśl nasza w tem uroczystem zebraniu zwrócić się winna ku naszym ojcom, ku tej nieśmiertelnej generacyi 1789 r., córy wieku XVIII, co swą odwagą i wytrwałością, ceną tylu wysiłków i ofiar osiągnęła zdobycze, z których my korzystamy i oddamy naszym synom, jako drogocenny spadek...“ Przytaczam drobny tylko skrawek długiego przemówienia, natchnionego tym duchem. Royer, prezes senatu, wyrzekł z kolei, że Rewolucya nie jest jeszcze zakończoną i przypomniał, iż trzeba było dwóch stuleci, ażeby ruch Reformacyi utrwalił swobodę sumienia. Meline wreszcie, prezes Izby, nawoływał do zgody i odparcia zuchwałych uroszczeń (Boulanger); nawet biskup wersalski przypomniał, że duchowieństwo francuskie (niższe) z przed stu laty było po stronie reform. Po odbyciu przeglądu wojsk i bankiecie w jednej z sal pałacu Ludwika XIV powrócono do iluminowanego Paryża.

W podobnie uroczysty sposób otwartą została nazajutrz wystawa na tym samym polu Marsowem, na którym znowu przed stu laty odbyło się wielkie święto sfederowania a raczej zjednoczenia różnych prowincyj francuskich i wszystkich ludów. W rok jubileuszowy zniesiono tu płody myśli, pracy i wyobraźni, umieściwszy je we wspaniałych pałacach.

Wystawa obecna, przewyższająca o wiele rozmiarami i świetnością wszystkie po-

4

## HOMUNKULUS.

EPOPEJA WSPÓŁCZESNA

Roberta Hamerlinga.

### PIEŚŃ ÓSMA.

W nowym Izraelu.

Swój znudzony lud na nowo
Pragnąc zająć i ożywić,
Munkel wpadł na myśl: zakłada
Wielką „giełdę towarową,“
Gdzie towary kupowano
Na to, by je znowu sprzedać;
Co dzień nowo-utworzone
Sprzedawano tam „wartości;“
Z rąk do rąk z szybkością piłki
Przechodziły one; a że
O istotną wartość rzeczy
Nikt nie pytał, tylko każdy
Grał na zwyżkę, albo zniżkę,
Wkrótce zatem zardzewiałe
Igły, haftki, drobne muszle
I ogony szczurze, ba! toć
Nawet weksle niespłacone,
A zabrane przy wyjeździe,
Poszły w obieg na tej giełdzie,
I ich „kursa“ notowano.
Gra giełdowa ożywiła
Wprawdzie ducha spekulacyi
I zajęła spryt i dowcip,
Dała pole doskonałe
Do „manewrów“ błyskotliwych, —
Lecz wogóle posłużyła
Ku rozrywce ducha raczej,
Jako pewien rodzaj sportu,
Niźli dla pożytku nacyi.
Gorszy nadszedł czas. Niepokój
Zapanował. A Izrael
Był żołądkiem, który groził
Że sam siebie strawi wreszcie,
Bo materyi dowóz ustał
Dla gryzących jego soków.

I poczęli wreszcie szemrać
Żydzi, sarkać na sklejenie
Chorobliwe hebreitów;
I nieznośnym im się wydał
Własnej skóry oryentalny
Wyziew, pot skoncentrowany,
I poczęli w dal znów tęsknić
Na swobodę rwać się znowu.
Ich najlepsi wieszcze grali
I śpiewali smutne hymny
Z czasów wyjścia z Babylonu.

Rotszyld popadł w obłąkanie,
Klął tabliczkę Pytagora,
Do kabały się przerzucił
Plótł z Apokalipsy brednie,
I na rynku i na giełdzie
Głosił wszem, że jest prorokiem
Jeremiaszem; jako żebrak
Unikany był przez naród.
Na starego Ahaszwera
Spoglądali współplemieńcy,
Jako przedtem z czcią i z dumą,
Teraz chmurnem, krzywem okiem:
Nieśmiertelny ludu żywot,
Który w nim się uosobił,
Wszystkim klątwą się wydawał.
Zmęczonymi wędrowcami
Sami siebie nazywali,
I ogarnął wszystkich przesyt
I do bytu zniechęcenie.
Z drugiej strony—świat zachodni
Zaznał jakąś dziwną pustkę,
Kiedy żydów w nim nie stało.
To powszechny brak zakwasu
Dał się uczuć w życiu ludów!
Puste były wszystkie giełdy,
Kulał obrót spekulacyi,
I w codziennej prasie wkrótce
Dał się czuć brak reporterów,
Coby wszędzie nos wścibili.
Wstrętnie wzięła górę sztuka
I poezya; korzystając
Z oddalenia kotów, myszy
Jęły tańczyć na Parnasie.
Wzmogły się niemniej i pewne
Najprzykrzejsze z chorób skórnych,
Bo najlepszych specyalistów
W owym fachu brakło właśnie.
Złota młodzież — żydów teraz
Wspominała z westchnieniami.

przednie, dzieli się na cztery części, złączone w jedną całość. Główna zajmuje pole Marsowe; ogrodnictwo umieściło się w Trocadero; rolnictwo i artykuły spożywcze — na Quai d'Orsay, kolonie zaś francuskie oraz specyalne wystawy różnych ministeryów i instytucyj zaległy esplanadę Inwalidów. Dodać do tego należy mnóstwo domostw ludzkich, od mieszkań nawodnych do willi dzisiejszych, odtworzonych w naturalnej wielkości i stanowiących osobną grupę, mieszczącą się bądź obok pola Marsowego nad Sekwaną, bądź dalej, na placu Inwalidów. Wogóle we względzie architektonicznym wystawa nadzwyczaj świetna, zadziwia mnogością i rozmaitością budowli różnych epok, krajów i stylów, równie jak nowością pomysłów w tej dziedzinie i niezwykłą barwnością ornamentyki.

U samego wstępu na plac Marsowy od strony Trocadero spotykamy się z wieżą Eiffla, tym kunsztownym wysiłkiem dzisiejszego budownictwa. Stoczono już wiele sporów o to, czy jest to pomysł architektonicznie piękny, czy tylko śmiały wytwór sztuki inżenierskiej. Sądzę, że nie można jej odmówić przymiotu piękna architektonicznego; nie przeczy ona zasadom harmonii, strzela w górę na 300 metrów z polotem pełnym wdzięku, żelazne zaś jej wiązadła układają się w misterną koronkę. Po za wieżą, na głównym placu wystawy, stanęły po obu stronach dwa znacznych rozmiarów gmachy, z których jeden poświęcony jest sztukom pięknym, drugi wyzwolonym. Osiadły na nich kopuły, kryte majolikową mozajką przeważnie barwy niebieskiej. Środek zajmuje ogród i wodotryski, dalej zaś, w głębi wznosi się wspaniały budynek centralny o wspaniałej kopule, pokryty nader bogatą i barwną ornamentyką. Po za tym tumem centralnym (dôme central) ciągnie się długa galerya środkowa, rozgałęziająca się na obie strony i mieszcząca w sobie płody przemysłu francuskiego. Za nią otwiera się wejście do olbrzymiej poprzecznej galeryi maszyn, będącej obok wieży Eiffla drugim cudem. Zbudowana również tylko z żelaza, posiada sklepienie łukowe i wsparta jest na arkadach oryginalnie pomyślanych. Tu mieści się wielka ilość maszyn i przeróżnych motorów, zwiezionych z całego świata.

Po obu bokach pola Marsowego rozłożyły się wystawy różnych krajów i narodów, mieszczące się bądź to w galeryach, będących przedłużeniem gmachu centralnego, bądź w osobnych budynkach a raczej bogatych, oryginalnych i misternych pałacach. Z prawej strony, idąc ku wieży Eiffla znajdujemy wystawę Austro-Węgier, dość liczną i rozległą, dalej — Wielkiej Brytanii i kolonii angielskich, następnie Belgię, Niderlandy, Danię, Monaco. Po drugiej umieściły się: Stany Zjednoczone, Rosya, Hiszpania, Portugalia, Włochy, Serbia, Bułgarya, Rumunia, Grecya a dalej: Persya, Egipt (jest cała, odtworzona w naturalnej wielkości, ulica Kairu), Japonia, Indye, Chiny, Meksyk, Brazylia, Argentyna, Paraguay, Uraguay. Gwatemala, Venezuela... Cały ten dział obfituje w wielką ilość okazałych, oryginalnych i ozdobnych dworców, pałaców i mniejszych budowli w stylach właściwych. Wschód i Ameryka południowa wzniosły tu całe miasta, czarujące i dziwne jak baśnie Szeherazady...

Na esplanadzie Inwalidów osiadły kolonie francuskie: Algier, Tunis, Tonkin, Senegal, pociągając niemniej świetnemi, okazałych rozmiarów i oryginalnego stylu budowlami.

Wszystko to, proszę zauważyć, nie są jakieś drobne modele i domki z kart, lecz rzeczywiste wielkie pałace i dworce, niezdradzające niczem swego przelotnego przeznaczenia. Obok tych kolonij mieszczą się wystawy hygieny, dobroczynności publicznej, cała osobna grupa wystawy ekonomii społecznej z właściwemi budowlami i wreszcie wystawy ministeryów francuskich, jak poczt i telegrafów itd.

Całe miasto wystawy żyje własnem swem życiem; ma swe restauracye i kawiarnie, swe teatry i zabawy, swoją wreszcie kolej żelazną, która łączy i zbliża rozrzucone oddziały jednego labiryntu. Liczne bramy i wejścia pomniejsze prowadzą do tego przybytku, do którego statki, pływające po Sekwanie, omnibusy i tramwaje zwożą wciąż tłumy, które do późnej jesieni odbywać będą tę pielgrzymkę.

Taką jest wystawa w najogólniejszych zarysach, w szczegółach zaś świat cały się mieści...

*Parisis.*

---

# SPRAWY EKONOMICZNE.

## DZIAŁALNOŚĆ DELEGACYI ROLNO-PRZEMYSŁOWEJ.

Ukazanie się zboża amerykańskiego na rynkach Europy zachodniej zmusiło ruskich producentów pszenicy i innych płodów rolnych do ocknięcia się z dotychczasowego spoczynku. Warunki zbytu uległy radykalnej zmianie. Kiedy dawniej chodziło o mniej lub więcej korzystną sprzedaż wytworów, obecnie zadaniem głównem stało się uczynienie jej jako tako znośną, ażeby opłaciła koszta produkcyi z dostarczeniem chociażby nieznacznej renty gruntowej. Lecz dla otrzymania tej ostatniej wypadło znieść jarzmo, ciążące nad rolnikami ze strony różnych pośredników, którzy dotychczas umieli ciągnąć niepomierne zyski ze ślamazarności i niedbalstwa właścicieli ziemskich i wobec zmienionych warunków rynkowych ani myśleli wyrzec się zabieranego haraczu. W tem źródle znajdujemy całe wyjaśnienie walki, która obecnie toczy się w Cesarstwie pomiędzy przedstawicielami rolnictwa a handlu i przewozu zbożowego i z dniem każdym przybiera bardziej zajątrzoną postać. Dość przerzucić szpalty niektórych gazet (z wyjątkiem liberalnych w rodzaju *Nowosti*), ażeby znaleźć jaskrawe na to dowody. Jesienią zeszłego roku, z powodu braku w Odesie statków zbożowych, *Russkij Kurier* posunął się nawet do twierdzenia, iż nastąpiło to wskutek porozumienia się miejscowych pośredników przewozowych z yankesami w celu powstrzymania dowozu zboża ruskiego na rynki europejskie. Inna gazeta widzi główną przyczynę wyzysku transportowego w rasowej skórze kapitalistów kolejowych, którzy, mieszkając często gdzieś daleko za granicami kraju, dbają jedynie o naładowanie kieszeni, chociażby ze szkodą dla całego rolnictwa i przemysłu. Jak gdyby swojscy inaczej postępowali! Że haracz, zabierany przez koleje w postaci opłat przewozowych, dosięga nadmiernego stopnia, nie ulega wątpliwości. Zdarza się czasami, iż wskutek tego drogi zbożowe zupełnie zmieniają swój kierunek; to znowu, dzięki temu, muszą iść nie prosto, lecz nadzwy-

---

A niektóre ludy całkiem
Podupadły; wyszło na jaw,
Że nie mogą ani umrzeć,
Ani żyć bez Izraela.
Dały słyszeć się już głosy,
Co żądały, by wezwano
Izraelski lud z powrotem.

A tymczasem nuda, niechęć
W świętym grodzie Jeruzalem
Rosły ciągle. Groźny kaprys
Ludu szukał swej ofiary
I wskazywał Munkla głowę.
Co do reszty oburzyło
Cały naród przeciw niemu,
To, że Munkel, by zapobiedz
Powszechnemu odrętwieniu,
Pchał swój naród do *dzieł* wielkich,
Wymagając, by świat cały
Siłą miecza zawojował.
Nie obiecał-że im wprzódy,
Że zwycięzko świat zdobędą,
Nie przelawszy krwi, orężem
Ducha tylko, swą mądrością,
Swoim sprytem i nadludzkim
Krytycyzmu górnym wzlotem?
A cóż wyszło z tych obietnic?
Tajemniczo fermentując,
Spisek dojrzał i wybucha;
Wierni Munkla wnet stopnieli
Do tchórzliwej, drobnej garstki.
Buntownicy szturmem wzięli
„Nowy Syon," jego zamek,
Pochwycili swego króla
I wrzucili go do lochu.

Osądzono Munkla na śmierć:
Nie od miecza ma śmierć ponieść,
Nie od stryczka katowskiego,
Nie od kuli, gilotyny,
Wedle obcych praw zachodu, —
Nie! ma być ukrzyżowany,
Jak chce stary zwyczaj kraju.

I prowadzą go już kaci
Po za mury miasta, tam, gdzie
Krzyż męczeński już wzniesiono:
Groźnie sterczy na pagórku.
Wyciągnięte Munkla ręce,
Wyciągnięte Munkla nogi
Przygwożdżono wnet do belek.

Naraz z miasta wystąpiwszy,
Rój nieznanych posłanników
Snuć się począł między ludem,
Zgromadzonym wkoło krzyża;
To poselstwo wywołuje
Niepojęty ruch, wzburzenie,
W tym ogromnym żydów tłumie,
Który naraz, jak mrowisko,
Gdy w nie kamień, płosząc, wpadnie, —
Począł roić się w zamęcie
I w nieładzie dziwnym tłoczyć,
Tak, jak mrówki, tylko nie tak
Cicho, głucho, ale głośno:
Wrzeszcząc, piszcząc, hałasując.

To wysłańcy są zachodu
Co przybyli do tych brzegów,
I przywieźli hebrejczykom
Zaproszenie Europy.
Obiecują dać natychmiast
Odepchniętym równe prawa
Pod jedynym tym warunkiem,
Że te weksle, które dotąd
W rękach synów Abrahama
Przechowały się, a które
Podpisane są przez chrześcian,
Co mieszkają na zachodzie,
W dniu powrotu żydów będą
Poniszczone i podarte
I spalone! Oto wszystko!

Słyszą to izraelici,
Szał ogarnia dusze wszystkich.
Rotszyld aż koziołka fiknął,
Wszyscy poszli jego śladem.
Nie chcą zwłóczyć i w zapale
Na wezwanie już iść pragną:
Co za dzikie skoki, tańce!
Jakież to zabawne giesta!
Ani dnia, godziny nawet
Nie chcą stracić, — cały naród
Na gwałt zbiera swe manatki,
Swój dobytek, — jak szalony
Śpieszy na wybrzeże morskie
I zapełnia wnet okręty.

Biedny Munkel sam pozostał,
Na wysokim krzyżu wisząc;
Z jasnych wyżyn swego wzgórza
Na tę scenę w dół spogląda.
Nikt nie troszczy się o niego!
On jest martwy, opuszczony,
Zapomniany i zgubiony.

A tymczasem noc zapadła,
Ale księżyc jasny wzeszedł.
Munkel widzi, jak ku morzu
Ciągną wciąż obywatele
Jego państwa, ach, ci zdrajcy

czaj długą linią łamaną. Bywa też, że masy zboża gniją na stacyach wskutek tego, iż zarząd kolejowy nie daje dostatecznej ilości wagonów (w ten sposób roku zeszłego zepsuło się do 1½ miliona pudów zboża wzdłuż drogi Kursko-Charkowsko-Azowskiej). Wogóle żądania rolników ruskich sprowadzają się do następujących wymagań. Przedewszystkiem idzie o zniesienie nieprawidłowości w przewozie kolejowym oraz zmniejszenie zbyt wygórowanych taryf. Usiłują to osiągnąć za pomocą organów rządowych. Moskiewskie Towarzystwo zachęty rolnictwa zwróciło się do władz z prośbą ustanowienia specyalnego biura, któreby w tej mierze rozciągnęło kontrolę nad działalnością zarządów kolejowych. Niektóre głosy idą jeszcze dalej i wymagają wykupu przez rząd kolei z rąk prywatnych, a przynajmniej wyrugowania cudzoziemców. W dalszym ciągu chodzi o usunięcie pośredników w handlu i regulowanie dowozu na rynki zagraniczne. Między innemi rząd, dla osiągnięcia tego celu, wydał pozwolenie zarządom dróg żelaznych brania zboża w zastaw i wydawania odpowiednich zaliczek. Niewiele to jednak pomogło; jeżeli bowiem brak obecnie składów dla zboża, któremu wypada na stacyi zatrzymać się dni kilka, cóż mówić o tem, aby przechowywano je po kilka miesięcy? Powyższe rozporządzenie wymaga przeto uzupełnienia—ustawy dla towarzystw odrębnych od kolejowych, któreby zajęły się budową składów i udzielaniem pożyczki na zastaw. Że ukazanie się podobnych zakładów mogłoby korzystnie wpłynąć na zyski rolnika, dowodu dostarcza elewator w Jelcu (gub. orłowskiej), zbudowany niedawno przez ziemstwo powiatowe i rozwijający się bardzo pomyślnie. Wybudowanie takich składów w ważniejszych portach przyniosłoby i inną korzyść. Producenci nie są w stanie dotychczas wyczekiwać, aby stosunki na rynkach europejskich ukształtowały się dogodnie, lecz często w najniewłaściwszej porze wyrzucają tutaj ogromne zapasy zboża. Elewatory i zaliczki umożliwiłyby usunięcie tego zła. Rząd patrzy sprzyjająco na te usiłowania z powodów kursowych. Mianowicie obecne podwyższenie wartości rubla odbyło się przy zwiększonym wywozie za granicę zboża ruskiego wskutek niedopisania urodzajów w Ameryce. Słusznie czy niesłusznie, dość że oba te ruchy postawiono w wzajemnym związku przyczynowym. Tem się wyjaśnia działalność władz w kierunku sprzyjającym rolnictwu, która nietylko uwidocznia się w popieraniu zaliczek na zboże itd., lecz jeszcze w dalej idących zamiarach, np. podniesieniu kultury rolnej drogą ustanowienia inspektorów agronomicznych, wskazujących ludności rolnej wydajniejsze środki uprawy z prawem przymusu.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad Cesarstwem. Widoczna bowiem, że uzyskanie tutaj tych lub innych ulg rodzi nadzieję, iż będą one rozszerzone i na terytoryum Królestwa, oraz pozwala mniemać, że miejscowe starania, chociażby odmienne, otrzymać zdołają łatwiejsze zatwierdzenie. Dlatego też, po tem wstępnem rozpatrzeniu, zwrócimy się do żądań i życzeń rolnictwa miejscowego. Znalazły one swój wyraz w działalności t. zw. delegacyi przemysłowo-rolnej przy warszawskiem Towarzystwie zachęty przemysłu i handlu. Zawiązaną została ona na początku r. 1886 dla zbadania odpowiedzi na rozesłany kwestyonaryusz pomiędzy obywatelstwo ziemskie. W tym celu zarząd dał jej do oceny pewną ilość różnych punktów, w których naturalnie nie przeniewierzył się swemu zadaniu — przychodzenia z pomocą przedewszystkiem wielkiemu kapitałowi. Mianowicie w liczbie 17 zapytań, jeżeli jakieś potrącają o włościanina, czynią tylko o tyle, ile losy tego ostatniego są związane z pomyślnym rozwojem wielkiej produkcyi zbożowej względnie własności ziemskiej. W pracach zaś samej delegacyi ulotniła się i ta drobna doza, którą znajdujemy w czwartem poleceniu zarządu, gdzie mowa o dzieleniu gruntów włościańskich... Zresztą, zdaje się, delegacya odznaczyła się i drugą zaletą, o ile można sądzić z leżących przed nami *Prac delegacyi przemysłowo-rolnej za 1886—1888*, w których jednakże, wbrew przyrzeczeniu tytułu, zostały wydrukowane rozprawy, wysłuchane i przyjęte na jednem posiedzeniu — z d. 17 czerwca 1886 r., tj. mniej więcej w trzy miesiące po jej ustanowieniu. Czyżby to już było wszystko za cały dwuletni okres, jak głosi tytuł? Bądź co bądź, delegacya wywiązała się zaledwie z drobnej cząstki włożonego na nią zadania. Jak i czy wogóle nieco postąpiła z odpowiedzią na takie punkty, jak sprawa taryf kolejowych, załatwienie służebności leśnych i pastwiskowych, prawo ogólne o komasacyi gruntów wśród włościan i folwarków, wypracowanie przepisów co do przyjmowania wód, zaprowadzanie przysięgłych stróżów leśnych i polowych, zmiany w ubezpieczeniach gubernialnych i ubezpieczeniach od gradu, stacye doświadczalne — o tem wszystkiem głucho w wydanem sprawozdaniu. Nie omylimy się prawdopodobnie, twierdząc, że wszystkie te pytania stoją po dawnemu otwarte. Równie nie spotykamy w sprawozdaniu dwuletniem, jak głosi tytuł, lub raczej z jednego posiedzenia, jak powiadamia nas tekst, żadnej wzmianki o działalności, poleconej przez zarząd dla zbadania stanu rolnictwa w Cesarstwie, oraz tamtejszego handlu i przewozu zbożowego, jako też i dla oznaczenia kosztów produkcyi rolnej u nas. Podobnież rozpatrzenie konkurencyi zagranicznej (po za broszurą p. Wścieklicy) i systemu celnego zbożowego niewiele się posunęło. Opracowano zaledwie kwestyę portu libawskiego, potrącono o gorzelniczą, drogową, księgosuszową i kwarantannową, wykończono projekt co do zabezpieczenia oficyalistów, wreszcie zajęto się przedewszystkiem sprawą kredytu rolnego. Towarzystwo obiecuje, że wykończone a zatwierdzone referaty delegacyi przedstawi do komitetu petersburskiego dla wyjednania zatwierdzenia urzędowego lub, jeżeli wykonanie nie przekroczy środków miejscowych, będących w posiadaniu samych rolników, przedsięweźmie odpowiednie starania.

Rozejrzyjmy się teraz bardziej drobiazgowo w działalności delegacyi. Sprawę portu libawskiego zupełnie usuwamy, jako nieprzedstawiającą żadnego interesu dla rolnictwa krajowego w teraźniejszych warunkach. Mianowicie pytanie to zostało postawionem wobec przesadnych obaw i pogłosek z powodu zaprowadzenia ceł zbożowych w Niemczech; szło wtedy o wyminięcie terytoryum niemieckiego i skierowania wywozu na Libawę. Podobnież nie potrącimy o projekt ubezpieczenia oficyalistów, gdyż do niego mamy nadzieję jeszcze powrócić. Z pozostałych, prócz dróg podwozowych, leżących w interesie poniekąd wszystkich grup rolniczych kraju, inne referaty dotyczą wyłącznie posiadłości większej, niektóre zaś, jak kwestya gorzelnicza, jedynie znaczniejszych majątków. Być może wyjątek uczynić należałoby jeszcze dla sprawy

---

Co złamali jemu wiarę,
Co ojczyzną się znużyli!
Widzi zdala na wybrzeżu
Wielki ogień, skąd pod niebo
Ulatują dym i iskry;
Tam się w popiół zmienia zwolna,
Głucho trzeszcząc, papierowy
Dług olbrzymi zachodowców...

Tak godziny przemijają
I straszliwa grobu cisza
W koło pustą dal zalega, —
Munkel wisi wciąż na krzyżu
Opuszczony, zapomniany;
Tylko sępy, tylko kruki,
Kracząc, krążą po nad krzyżem.

Ale oto w mgle księżyca
Tam od siwych skał tych stąpa
Jakaś dziwna postać — starca:
Starodawne lica, czoło,
Poorane w bruzdy; sucha
Zżółkła skóra; twarde członki;
Jak u duchów, fosforycznie
Srebrny, długi włos migocze.
Tylko lśni się dwoje oczu,
Jak dwa węgle, pozostałe
W szarym mumii tej popiele.

Był to Ahaszwerus, tułacz
Wieczny, przez śmierć zapomniany;
On niepostrzeżenie z wszystkich
Został sam przy Munkla boku:
Tylko *jeden* żyd — żyd *wieczny*.
Teraz po pod krzyżem stoi,
Głową zwolna wstrząsa, drżą mu
Białe włosy przy tym ruchu,
Wlepił lśniące oczy w Munkla,
Przytłumionym głosem szepcze:
„Czy i ciebie chce zapomnieć
Śmierć, nieszczęsny synu ziemi?"
„Tak," z westchnieniem odparł Munkel—
„Pozostawia mnie na krzyżu
Wiszącego śród męczarni
Między niebem tem a ziemią,
Między życiem tem a śmiercią.
Wszyscy dziś mnie porzucili
I uciekli precz odemnie, —
A tak całkiem bez litości,
Że mnie nawet nie dobili."

Czy to śmiech był, czy westchnienie?—
Co wyrazić chciał Ahaszwer
Przez wstrząśnięcie srebrnowłosą
Głową na te słowa Munkla? —

Po milczeniu krótkiej chwili
Znowu skarży się męczennik:
„Tak, porzucił mnie, odstąpił,
Ten tchórzliwy motłoch żydów,
Ten bezecny, ten nikczemny!..
Ja pogardzam niemi dzisiaj
I szczęśliwy jestem, że mi
Oszczędzili już widoku
Lic swych, bogom nienawistnych,—
Czy żyć będę, czyli umrę...
Jeden tylko ból mnie trapi
O istocie jednej myślę:
Moja żona, towarzyszka
Mojej władzy, mojej chwały,
Którą wzniosłem tak wysoko,
Osadziwszy ją na tronie...
Czyż i ona mnie rzuciła?
Albo może tłum nikczemny
Ją też zawlókł na plac kaźni?
Lub też może zapomniana,
W jakimś ciemnym lochu, cierpi,
Tak jak ja na krzyżu cierpię?" —

Stary tułacz znowu wzdycha
I uśmiecha się znów skrycie,
Po tem rękę wyciągnąwszy,
Wskazał w dal, na krańce morza,
Gdzie w księżyca jasnym blasku
Ślizga się po wód powierzchni
Biały żagiel...

„Spójrz, w tym statku,"
Szepce cicho, „w statku, który
Mknie do Konstantynopola,
Wraca właśnie wielki bogacz,
Muzułmanin krwi szlachetnej,
Emir pewien. Na swój statek
Przyjął on, — gościnny wielce, —
Porzuconą, zapomnianą,
Piękną żydów cesarzowę.
Toć że-ś był na śmierć skazany!
Toć że-ś był do krzyża wbity!
Wdowa ciebie opłakała,
Jak godziło się, rzetelnie!
I ów bogacz, muzułmanin,
Gdy przez Palestynę wracał,
Ujrzał twoją piękną wdowę
I o rękę ją poprosił;
No, a wdowa... obiecała,
Że spróbuje go pokochać.
Teraz oto lotem strzały
Do Byzancyum mkną oboje."
Zaklął Munkel i obelgę

kwarantannowej na granicy. Otóż granica zostaje kilka razy do roku zamykaną przez Austryę i Prusy, niby ze względów sanitarno-weterynaryjnych. Lecz właściwie zamykanie to i otwieranie przedstawia jedynie środek dogodnego regulowania mięsnego rynku krajowego przez zagranicznych przedsiębiorców i władze tamtejsze w ten sposób pod maską interesów sanitarnych uprawiają zupełnie co innego. Inne już projekty, np. sprawa uwzględnienia przez instytucye ubezpieczeń od księgosuszu wyższych ras bydła zupełnie i jedynie interesuje większą własność. Zobaczmy przeto, co dla niej zrobiono. Zajęto się w tej mierze głównie dwoma pytaniami: kredytu rolnego i spółek handlowych. Przedewszystkiem jednak, jakie znaczenie delegacya nadaje tym sprawom? „W przesileniu, jakie obecnie przemysł rolniczy przechodzi, brak normalnego kredytu nie stanowi bynajmniej jedynej, ani tembardziej najgłówniejszej przyczyny złego.“ Przytem zauważa ona, że jądro kredytu spoczywa w wyrobieniu pożyczek tanich, długoterminowych a umarzanych ratami, jak to widzimy w Towarzystwie kredytowem ziemskiem. Według obliczeń p. L. Górskiego, obdłużenie dóbr wynosi 66% szacunku (obecnie więcej z powodu spadku cen ziemi), z czego na Towarzystwo kredytowe wypada tylko 26%. Resztę stanowią pożyczki prywatne, drogie, bo 8% rocznie stanowi jeszcze najniższą stopę procentową, przytem krótkoterminowe. Otóż najgłówniejsze zadanie polega na skonwertowaniu tego ostatniego kredytu, prywatnego, na długoterminowy a tani. Można to osiągnąć przez rozszerzenie działalności Towarzystwa kredytowego ziemskiego, mianowicie przez wypuszczanie dodatkowych pożyczek amortyzacyjnych na drugi numer hypoteczny w granicach pomiędzy $^1/_2$ a $^1/_3$ wartości dóbr, ze zwolnieniem stowarzyszonych zarówno jak i obecnego funduszu rezerwowego wspomnianej instytucyi od odpowiedzialności za nie, a natomiast z nałożeniem w odpowiednich granicach obowiązku utworzenia nowego szczególnego funduszu dla zabezpieczenia. Kwestyę kredytu obrotowego uznano za względnie małoważną; zaprojektowano tylko zwrócić się do władz o rozszerzenie zakresu warszawskiego kantoru Banku państwa w celu udzielenia kredytu solo-wekslowego dla właścicieli ziemskich, oraz wekslowego za dwoma podpisami itd. Wyrażono też życzenie, aby koleje porozumiały się z odpowiedniemi instytucyami dla utworzenia na stacyach składów z wydawaniem pożyczek pod zastaw zboża. Daleko jednakże większą uwagę delegacya zwróciła na spółki handlowo-rolne. Zwłaszcza pokłada ona wielkie nadzieje w tej instytucyi jako pośredniku przy kupnie surowych produktów, narzędzi rolniczych oraz artykułów spożywczych przez obywateli ziemskich. Spółki mogłyby zatem pośredniczyć pomiędzy samymi ziemianami przy kupnie koniczyny, łubinów itd., następnie pomiędzy ziemianami a domami zagranicznymi przy nabywaniu nasion zęba końskiego, marchwi pastewnej i in. — z ich pomocą dałoby się załatwiać ten interes o jakie 20—50% taniej. Równie dużo one miałyby do zrobienia przy sprzedaży produktów rolnych w ogniskach handlu krajowego, jak np. w Warszawie, gdzie na rynku rolnym utrwaliły się różne zwyczaje, bardzo szkodliwe dla ziemian i stanowczo przyczyniające się do zaostrzenia obecnego przesilenia rolnego; podobnie działalność ich mogłaby z pożytkiem zostać rozszerzoną na takie miejscowości, jak Wierzbołów, Mława, Włocławek, gdzie umożliwiłyby wejście w bezpośrednie stosunki z młynami zagranicznymi, browarami i gorzelniami. Wreszcie mogłyby one wyrobić kredyt na zastaw zboża. Nie wdajemy się w drobiazgowe przedstawienie projektu co do organizacyi tego rodzaju zakładów i wogóle strony technicznej, ciekawych odsyłamy do samego Sprawozdania.

Skreśliliśmy działalność delegacyi rolno-przemysłowej za całe dwa lata, trzymając się w tej mierze wydanego Sprawozdania. Jak wiemy, faktycznie wszystkie jej usiłowania obracają się dokoła wielkiej własności ziemskiej. O ile tedy zrobiła w tym kierunku? Sądzimy, iż nie miniemy się z prawdą, mówiąc, że potrzeby krajowej produkcyi zbożowej u nas i w Cesarstwie są w ogólnych zarysach te same. Jeżeli teraz porównać zechcemy dążenia rolników ruskich z działalnością delegacyi, odrazu rzuca się nam w oczy zupełne zamilczenie o tak ważnym fakcie, jak kwestya taryfowa dróg żelaznych. W Cesarstwie słyszymy przeciw temu ciągłe utyskiwania. Czyżby u nas było lepiej? Wobec znanego traktowania podróżnych na różnych kolejach Terespolskich i Nadwiślańskich, można mniemać, iż chyba nie lepiej rzeczy stoją pod względem przewozu zboża. Dlaczego przeto pominięto tę sprawę pierwszorzędną? Czyżby dlatego, że jakkolwiek delegacyę obchodzą losy wielkiej własności ziemskiej, lecz z drugiej strony nie chciałaby ona zadzierać z naszymi królikami kolejowymi?

*L.*

## LITERATURA I SZTUKA.

### Z NIEMIEC.

*10 maja.*

Wilhelma Bendera „Kampf um die Seligkeit“ w stosunku do nauki Feuerbacha. — Walki publicystyczne realistów niemieckich: Konrada 'Albertiego krytyka stosunków dziennikarskich i teatralnych w Berlinie. — Odwrotna strona medalu.

Prąd reakcyjny, który świeżo w Austryi święci tryumfy głośne, bo zdobyte na polu parlamentarnem, w Niemczech od dawna nurtuje cicho, lecz niemniej zwycięzko. Ofiarą jego padł teolog, dr. Wilhelm Bender, który jako profesor uniwersytetu w Bonn pierwszą uczynił próbę oparcia religii na podstawie nauki nowoczesnej. Wywoławszy protest zarówno ze strony teologów liberalnych, jak i ortodoksów, został usunięty z katedry. Niezłamany atoli tą zemstą, podejmuje działalność swą jako autor i ogłasza nowe dzieło p. t. *Walka o zbawienie*. (Poprzednio wydał wielką pracę *Das Wesen der Religion und die Grundgesetze der Kirchenbildung*). Postępując drogą, utorowaną przez Ludwika Feuerbacha, oddziela antropologiczną formę religii od rozmyślań filozoficznych, stosuje do niej ściśle historyczno-krytyczną metodę badania, wreszcie poddaje ją powszechnemu prawu rozwoju. Już Feuerbach wypowiedział myśl, że bóstwo jest idealnym obrazem człowieka. Stojąc na gruncie Heglowskim, przypuszczał też pewien rozwój w życiu religijnem.

Bender pod niejednym względem przewyższa poprzednika. Bada on obfity mate-

---

Wściekłą rzucił; gniewnie jęczy:
„To-ż jest wdzięczność za koronę,
Com na skronie podłej włożył?!
To-ż jest wdzięczność za cierpliwość?!
Wdzięczność za me przebaczenie?!—
Jakżem mógł się zdecydować
By do ust swych włożyć znowu
Raz już wyrzucony kąsek!
Czyż nie znałem już z początku
Jej istoty, charakteru?
Czyliż mogłem więcej żądać
Od rybiego tego rodu,
Od zimnego serca Nimfy?
Biała pierś, a czarna dusza,
Pełne piersi, — puste serce.
Jakżem dał się tak ogłupić
Obłudnymi wyrazami
„Doświadczonej“ niby „mniszki?“
Inne mają włos fałszywy,
Lub fałszywe piersi, członki:
Ta kobieta ma fałszywą
Duszę, którą na noc składa
Na stoliczku tualety!
Niegdyś wcale jej nie miała,
Teraz za to ma fałszywą,
By zastąpić nią prawdziwą,
Odmówioną przez naturę
Tym, co żyją na dnie wody!“
Tak się Munkel skarży, jęcząc.
I litością zdjęty starzec
Zbliża się, by skazańcowi
Zwolnić z więzów ręce, nogi,
Z krwawych ran wyciągnąć gwoździe, —
Ale Munkel pragnie umrzeć,
Z gniewem jego chęć odrzuca.

„Ha!“ — odpowie wieczny tułacz
„Czyliż mogę łajać, ganić
Kogoś, który razem ze mną
Dzieli żądzę wiecznej ciszy,
Wieczystego odpoczynku?
Ach, wieczysty odpoczynek
Dziś podwójnie jest mi słodkim
I nęcącym, od tej chwili
Gdym nakoniec raz skosztował
Jego przedsmak, — przez największy
Z cudów, z przygód najdziwniejszą,
Jakie-m kiedykolwiek przeszedł
W tej tułaczce długiej życia!“

Westchnął ciężko, i w wspomnienia
Swoje smutne się pogrążył;
Parę minut milczał stary,
Potem znowu mówić począł:

„Sto lat już upływa odtąd,
Kiedy starą żądzą śmierci
Trawion, płonną jej nadzieją,
W przepaść Etny się rzuciłem.
Lecz ognisty krater góry
Nie ma dna i w głąb gdzieś sięga:
Więc spadałem coraz niżej,
Coraz niżej, aż nareszcie
Spadłem w punkt środkowy ziemi,
Gdzie ciężkości centr się mieści,
Owo centrum, co ku sobie
Zewsząd i w kierunkach wszystkich
Każdą ziemską rzecz przyciąga
I potężnie utrzymuje;
Naturalnie, że już dalej
Spaść nie mogłem: więc zawisłem
Wolno, tak jak Mahometa
Trumna w świętem miejscu, w Mekce.
Tak przez ciąg stulecia cały
Tam wisiałem, — nieszczęsnego
Głód nie zmorzył, ni pragnienie
Nie zabiło, nie umarłem:
I nareszcie nowy wybuch
Wyrwał mnie z wnętrzności ziemi
I wyrzucił na wierzch nagle
Przez ognisty krater góry,
Znów mnie światu powracając
I na byt skazując płaski,
Przeznaczony synom ziemi.

Jednak przez stulecie owo
Wydrzemałem się dokładnie,
Pogrążony w ciemnem łonie
Kuli ziemskiej, pogrzebany,
Pochowany tam za życia,
W tym jedynie nieruchomym
Centrze wszystkich ziemskich rzeczy,
Co doń dążą bez wytchnienia, —
W tej najcichszej z wszystkich mogił,
Co mi dała poznać przedsmak
Odpoczynku po za światem,
Słodkiej śmierci i nicości!

A w istocie trzeba było
Raz mi się wydrzemać trochę!
Już uczuwam starość w członkach
I znużenie. Moje nogi
Już nie noszą mnie tak żwawo.
Jam już nie tak świeży, rzeźki,
Jak w minionych owych czasach,
Gdy z swawoli czystej tylko
Wdrapywałem się na szczyt sam
Niagarskiego wodospadu,

ryał, który porównawcza historya religij nagromadziła w ciągu ostatnich lat czterdziestu, przyczem uwzględnia też rezultaty badań etnograficznych. Nie chce ani tworzyć, ani obalać ideałów ludzkich; chce je wyłącznie zrozumieć i objaśnić. Atoli ideały religijne zrozumieć można, tylko zbadawszy prawdziwą historyę ich powstania. Bender dowodzi, że religia zawsze i wszędzie jest wytworem i czynnością ducha człowieczego. Wszystkie formy czynności ludzkie, cała kultura jest rezultatem wzajemnego na się oddziaływania świata i człowieka. Religia więc nie jest niczem innem, jeno zjawiskiem towarzyszącem rozwojowi kulturalnemu, bronią, której człowiek używa w walce o byt — gdy walka ta jest porządkiem, w jakim się odbywa owo oddziaływanie wzajemne. W niej doskonali się społeczeństwo ludzkie; atoli człowiek nie walczyłby, gdyby się nie spodziewał zadowolenia i uszczęśliwienia. Powszechna tedy walka rodzi z konieczności ideał powszechnego szczęścia, obraz udoskonalonego społeczeństwa, który przyświeca ludzkości jako cel jej rozwoju. Religia zaś służy właśnie celom pracy kulturalnej. Na najniższym stopniu modli się człowiek o zachowanie życia, o powiększenie własności, o powodzenie w łowach i bojach, i dziś jeszcze większość modli się o pożywienie, ubranie i pomieszkanie. Wszędzie i zawsze życzenie jest pierwotną formą religii. W jaki sposób życzenia te przekształcają się na ubóstwianie i wiarę we właściwem tego słowa pojęciu? Pragnienie pomocy — mówi Bender — reguluje się według form poznania ludzkiego. Bóstwo—to potęga, udzielająca pomocy. Przedmiotami czci stają się naprzód części przyrody, których siły doświadczył człowiek: słońce, ziemia, piorun, zwierzę, człowiek potężny. Człowiek ubóstwia je i składa im ofiary, oczekując, że zajmią się żywotnymi jego interesami i pomagać mu będą. Wraz z kulturą rozwija się i religia, przyczem zauważyć należy, że nie ona powoduje postęp cywilizacyi, lecz owszem on wywołuje przekształcenie jej wierzeń. Zbadawszy siły i prawa przyrody, zburzyła nauka religie pierwotne. Pozbawia ona bohaterów boskości, dowodząc, że najpotężniejsze w dziejach postacie podlegały ograniczeniu.

Wykazuje Bender jeszcze, że zwątpienie o możliwości szczęśliwego przeprowadzenia walki o byt, spowodowało powstanie nadprzyrodzonej formy religii, która uczy, że życzenia ludzkości w innym świecie znajdują urzeczywistnienie. Formę tę poddaje krytyce wyczerpującej, wykazując, że straciła ona obecnie wszelkie znaczenie; wiara nasza służyć ma ideałowi bytu, odnoszącego się do całego człowieczeństwa. Religię obumarłą, która wiarą w cuda nadprzyrodzone otwiera drogę do wyśnionego świata nadziemskiego, przekształcić należy na religię żywą, popierającą człowieka w walce o szczęście i zbawienie w świecie rzeczywistym.

W Niemczech wywody Bendera spotkają się nietylko z niechęcią klerykałów, ale też z oporem takich badaczów, jak Dühring, autor książki *Der Ersatz der Religionen*, którzy pragnęliby wykorzenić religię i zastąpić ją czysto rozumowem skupieniem myśli.

Że w życiu umysłowem Niemiec przygotowuje się zwolna zwrot, który zerwie z tradycyą przekazanych szablonów na każdem polu, o tem świadczy żywy ruch, który wywołuje grono młodych realistycznych autorów. Jest pomiędzy nimi kilku dzielnych publicystów, którzy z odwagą i siłą rzadką poddają krytyce wszystko, co jest zgniłem w społeczeństwie niemieckiem, a zwłaszcza w jego literaturze i sztuce. Najsympatyczniejszym z nich jest Conrad Alberti, który obok M. G. Conrada, wydawcy miesięcznika *Gesellschaft*, najpoważniejszą ma wiedzę i najmniej chełpliwości, szpecącej każdy wiersz pióra Bleibtreua. Alberti jest autorem broszury p. t. „Czego spodziewa się sztuka niemiecka po cesarzu Wilhelmie II?“, która ogłoszona zaraz po wstąpieniu na tron obecnego cesarza, szerokiem w prasie odbiła się echem, a nawet ministra Gosslera spowodowała do zaproszenia młodego autora na konferencyę. Alberti proponował rządowi opiekowanie się literaturą i sztukami plastycznemi, podając szereg projektów praktycznych. Powodzeniu broszury tej zawdzięcza on wydatne dziś stanowisko wśród realistów niemieckich, którzy dramat jego „Brot“ uważają jako ozdobę literatury młodo-niemieckiej. Obecnie ogłosił obszerną krytykę teatrów berlińskich oraz stosunków literacko-dziennikarskich. Bystrość obserwacyi, szczęśliwe pochwycenie ważnych momentów, łączy się w pracy tej z niepospolitą odwagą cywilną i siłą słowa. Oto niektóre szczegóły. Kierownik Centralteatru, Ernst, jest pierwowzorem przebiegłego spekulanta teatralnego, który szerząc zepsucie, robi na niem interesy. Demoralizuje on nietylko publiczność, którą raczy wyłącznie drażliwemi i pieprznemi sztukami, ale też grono zdolnych autorów, którzy będąc materyalnie od niego zawisłymi, zmuszeni są pisać swe utwory według jego recepty, przerabiać je na próbach według jego wskazówek. Prasa donosi zawsze o niesłychanem powodzeniu nowości w teatrze Ernsta. Nikt bowiem tak zręcznie obchodzić się nie umie z sprawozdawcami i reporterami, jak pan Ernst. Obsypuje ich biletami bezpłatnymi, otwiera im kulisy, sprasza na obiady, metresom ich przesyła bukiety. To też żaden z teatrów berlińskich nie cieszy się reklamą tak bezczelną. *Berliner Tageblatt* napisał swego czasu, kiedy Ernst wystawił nędzny utwór p. t. „Trzy Gracye,“ że dopiero sztuka ta upopularyzowała słynną grupę Canovy, umieszczoną w Berlinie. Śmierć cesarza Fryderyka III wyzyskał *Börsencourier* na reklamę dla subretki tego teatru, panny Grünfeld, której równocześnie zmarł ojciec. Artystki zaangażowane przez Ernsta nie posiadają ani iskry uzdolnienia dramatycznego, za to są bohaterkami skandalów; pobierają nizkie pensye, za to mają dostojnych kochanków, którzy nadto popierają teatr. Opinię publiczną fałszuje się systematycznie, zwabiając w ten sposób coraz nowe tłumy publiczności. Paweł Lindau, autor sztuki „Die beiden Leonoren,“ kazał sobie przedstawić listę osób, które zamówiły krzesła na pierwsze przedstawienie jego utworu i przekreślił imiona wszystkich tych, których sądu samodzielnego się obawiał. Jacy ludzie już ulegli tej zarazie, o tem świadczy następujący wypadek. Lessingtheater, prowadzony przez Blumentala, stanowi własność spółki komandytowej; głównym w niej uczestnikiem Rudolf Mosse, nakładca dziennika *Berliner Tageblatt*. Nic dziw więc, że przedstawienia Lessingtheatru sprawozdawca tego pisma, Artur Levyson, wychwala pod niebiosa. Atoli w pewnej ważnej dla teatru tego chwili pojawił się w *Berliner Tageblatt* artykuł Fryderyka Spielhagena, który odzywał się o sztukach starych, wznowionych przez Lessingtheater, jako o ważnych wypadkach literackich. Należy zaś wiedzieć, że równo-

---

Odczuwając dziwną rozkosz,
Gdy mnie wir szumiący dziko
Staczał na dół i podrzucał
Po załamach skał tysiącznych;
Albo wówczas, gdy przeciąłem
Zbyt gorąco pulsujące
Żyły swoje, a następnie
Chcąc, by krew spłynęła chłodno,
Naraz z skały się rzuciłem
W Czerwonego morza fale, —
Wówczas inną miało nazwę
A czerwonem je nazwano,
Odtąd właśnie, gdy się krwią mą
Na czas długi zabarwiło...
Bo przez trzysta dni pływałem,
Ociekając krwią, po falach;
Upust krwi podziałał dobrze:
Ach, młodości świeżej szale!“

Tak przemawiał wieczny tułacz,
Stary żyd Ahaszwer; potem
U stóp krzyża się rozciągnął
Zabierając się do drzemki.

Lecz jak śmierć, tak sen zarówno
Bieży odeń; myśl przekorna
Ściga go, a widok Munkla
W chmurne rzuca go dumania.

„Ach, tak oto,“ — myśli z bólem —
Jako człowiek ten na krzyżu,
W tej grobowej ciszy, w pustce,
Tak i ja dopiero wówczas
Zmierzę całą grozę bytu
I żałobę, gdy zostanę
Sam, ostatni człowiek w świecie;
A nademną gwiazdy będą
Wirowały, w przeraźliwej,
Głuchej ciszy, po nad globem,
Opuszczonym i zmartwiałym.
Ach, czy choćby wówczas wreszcie,
Gdy zwietrzeje bryła ziemska,
Wraz atomy mej istoty,
Rozsypane i zwietrzałe
Z ziemskim pyłem się połączą?!“

Równie jak pod krzyżem człowiek,
Tak i drugi ten, na krzyżu,
Bezsennością jest trapiony
I w zadumie czarnej tonie.

Straszną jest mogilna cisza
Wkoło, w wielkiej tej pustyni.
Munkel wisi wciąż na krzyżu
Zapomniany opuszczony;
Tylko sępy, tylko kruki
Kracząc, krążą wkoło krzyża.

Na swe życie rzucił Munkel
Wstecz spojrzenie i wybuchnął
Sarkastycznym gorzkim śmiechem:
„Niechby przyszedł tu mój twórca,
Niechby ujrzał na tym krzyżu
Arcydzieło swe zhańbione!
On, co tyle gadał, marząc
O przyszłości, pełnej blasku,
Co drzemała w łonie czasu
Dla wielkiego jego dzieła!
Ha, weź klątwę mej wdzięczności
Za twój mętny napój życia,
Za ożywcze źródło, sokiem
Niepożywnym odżywiane!

Ha, pyszałku! coś się nadął
Niezmierzoną głupią dumą,
Żeś z najlepszych materyałów
W pocie czoła coś spartolił,
Co się „człowiek“ nazywało?
Ileż to nadziei w swoich
Twórczych środkach pokładałeś!
Czyż nie było już podobnych,
Mniej pretensyonalnych środków,
A klecących stokroć lepiej
Ludzi z gliny i kamienia
Z oderwanych z dęba klocków,
Z smoczych zębów? Czyż nie stworzył
Bóg z Adama żebra — Ewy,
A Adama zaś z *niczego?!*

Wstręt głęboki mnie ogarnia
Do istnienia i do życia.

Chmury księżyc pokrywają;
A milczenie coraz głębsze
W koło krzyża, na pagórku;
Zda się, że zamarło życie.
Nagle ciszę przerwał krótki
Śmiertelnego strachu okrzyk:
To ptak jakiś, przebudzony
Snem, że sokół nań napada,
Krzyknął, trwogą śmierci zdjęty...

Ha! cóż znaczy to widziadło?!
Na dalekim morza skraju
Nagle się wynurza statek,
Jakby widmo: straszny, pusty
I tak, jako śmierć samotny:
Jego żagle kruczo-czarne,
Czarny maszt i próżny pokład,—
Jedynego męża postać
Tak o czarny maszt oparta,
Jakby związan był u pala.

cześnie Mosse kupił był nową powieść Spielhagena dla swego dziennika!

Wywody swe streszcza Alberti w następujących słowach: „Teatr niemiecki w obecnym swym stanie jest rzeczą, której ludzie przyzwoici dotknąć się mogą chyba widłami od nawozu. Wszystkie uczciwe próby reformy rozbić się muszą: dowodzi tego przykład pisma Rafała Loewenfelda *Dramaturgische Blätter*. Dyrektorowie teatrów są spekulantami artystycznymi, dramaturgowie bądź ich pucybutami, bądź bezsumiennymi trucicielami ludu na własną rękę; artyści są próżnymi, nadętymi trutniami, artystki nierządnicami, dziennikarze i recenzenci łajdakami, a publiczność bezrozumną trzodą baranów.“

Zapewne żaden człowiek uczciwy, znający stosunki dziennikarskie i teatralne w Niemczech, nie odmówi słowom tym racyi, a autorowi ich i towarzyszom jego sympatyi. Słuszne też są żale młodych realistów, iż żadna scena utworów ich dotychczas wystawić nie chciała, chociaż Bleibtreua „Schicksal,“ Wallota „Faliero,“ Albertiego „Brot,“ Conrada „Firma Goldberg;“ są sztukami scenicznemi, pisanemi z talentem. Nie chcą jednak panowie ci zrozumieć, że wina tego spada po wielkiej części na nich samych, gdyż ślepe ich ciskanie gromów na ludzi nieuznających ich geniuszu i niemniej ślepe wychwalanie własnych rzeczy każe wielu krytykom i kierownikom teatrów pojmować ich raczej jako grupę szalonych, opętanych obłędem wielkości i będących w stanie ciągłej furyi. Ton ten nadaje zawsze Bleibtreu, który, od czegokolwiek zaczyna, zawsze skończy na sobie i swoich. Rozbierając książkę angielską „The legacy of Kain,“ broni on się przeciwko zarzutom uczynionym mu przez Mauerhofa w *Blätter für litterarische Unterhaltung*. U francuzów popyt literacki równy jest podaży, nie dziw więc, że Daudet lub Sardou rzeczy swe mogą wykończać. Poeta niemiecki pewnym jest, że im cenniejszym utwór jego, tem niechybniejszem niepowodzenie. Nie należy tedy czynić mu zarzutu, że tworzy szybko i niedbale. Wielki mistrz zakonu samochwalczego tak pociesza siebie i przyjaciół: Nie słuchajcie karceń krytyków złośliwych, bo gdzie znajdziecie dziś w literaturze świata grupę tak potężnych, oryginalnych talentów, jak w naszem gronie? Kto dorównywa Kretzerowi w bogactwie charakterystyki? Jego pierwociny dramatyczne przewyższają „Teresę Raquin“ i „Renée“ Zoli. Wallota powieści na tle rzymskiem znacznie wyżej stoją, aniżeli Melvillea „Sarchedon,“ a nawet Flauberta „Salambô.“ Porównany z Albertiego „Wer ist der Stärkere?“ (powieścią berlińską) — czem jest Daudet? Mamyż podziwiać w liryce utwory Tennysona, Carducciego czy Stochettiego, mając Redera i Liliencrona, Conradiego, Arenta, Steigera, Bohnego, Scharfa i Harta?

Oto jak poskutkowała lekcya poczciwego Mauerhofa.

*Ładawa.*

---

## LITERATURA RUSKA.

### Szczedryn (Michał Sałtykow).

### I.

Literatura ruska straciła najzdolniejszego ze swych satyryków, Michała Sałtykowa, znanego pod pseudonimem Szczedryna. Zmarł on z wady serca 11 b. m. Jeszcze przed kilku laty sam się skarżył w „Drobiazgach życia:“ „Chory jestem do niewytrzymania. Cierpienie wpiło się we mnie wszystkimi szponami i nie wypuszcza z nich. Ciało złamane nie może z niem walczyć. Noc spędzam w śnie niespokojnym, piszę rzadko i to z wielką męczarnią, czytać nie mogę wcale i nawet słuchać czytania. Bywają chwile, że głosu ludzkiego nie znoszę.“ Czy można pracować w takim stanie ruiny fizycznej? A jednak nie wypuszczał pióra do końca życia; to, co napisał w chwilach „wyrwanych chciwej niemocy,“ nie ustępuje pod względem wartości utworom z czasów pełni sił. Rozstrój fizyczny wcale nie wpływał na jego zasady, niezłomne od początku do końca, ani też osłabił zamiłowania do pióra, chociaż sam autor widział źródło swych cierpień w *pisaniu*: „Ach, to rzemiosło pisarskie! — woła on — to nietylko męka, lecz całe piekło ducha. Kropla po kropli sączy się krew pisarska, zanim wpadnie pod prasę drukarską.

Sałtykow urodził się 1826 r. we wsi Spas-Usolje gub. twerskiej. Po ukończeniu instytutu szlacheckiego w Moskwie, przeszedł do liceum carsko-sielskiego, następnie rozpoczął karyerę materyalną w ministeryum wojny. Pierwsza próbka jego pióra pojawiła się w formie wierszowej p. t. „Nasz wiek“ w *Sowremienniku* r. 1844, następnie jeszcze drukował sporo drobnostek takich, ale wkrótce przekonał się, że forma wiązana nie jest dlań odpowiednią. Wziął się więc do prozy i pierwszy utwór p. t. „Przeciwieństwa“ puścił w świat r. 1847. Był to jeszcze utwór młodzieńca 21-letniego, kulawy pod względem formy, ale treścią odrazu zaznaczający zdolność. Druga walka „Zagmatwana sprawa,“ zwróciła na autora powszechną uwagę społeczeństwa ruskiego i jednocześnie wyrobiła mu wielu wrogów. Wkrótce potem Sałtykow otrzymał posadę rządową w Wiatce, gdzie zajął wybitne stanowisko. Samo miasto i stosunki tamtejsze były dlań obfitą kopalnią materyału do dalszych utworów. Stąd powstały „Szkice gubernialne,“ z bogactwem typów. Mając sposobność odbywać obowiązkowe objazdy gubernii autor podpatrzył życie wszystkich sfer, zaczynając od „przodujących“ aż do roskolników, włóczęgów, włościan i więźniów. Po ośmioletnim pobycie w Wiatce, Szczedryn powrócił do Petersburga. Tam (w r. 1856) w *Ruskim Wiestniku*, świeżo założonym przez Katkowa, ukazały się „Szkice gubernialne,“ pierwszy raz podpisane znanym pseudonimem. W czasie największego rozwoju twórczości literackiej zajmował kolejno rozmaite stanowiska w służbie rządowej: był wice-gubernatorem w Kazaniu i Twerze, dyrektorem Izby skarbowej w Penzie, Tule i Razaniu. W r. 1868 porzucił służbę. W r. 1859 przeszedł z *Ruskiego Wiestnika* do *Sowremiennika*, przenosząc to pismo swem współpracownictwem. W r. 1868 za Niekrasowa w *Otieczes. Zapiskach* objął dział beletrystyczny, zaś po śmierci tego poety — redakcyę całego pisma. W ostatnich latach pracował w *Wiestniku Jewropy*, *Ruskich Wiedomostiach* i innych. Pozostawił ogółem 24 tomów prac, nie wliczając w to drobnych szkiców i urywków, pisanych okolicznościowo. Znany publicysta ruski, Arseniew, zaznacza znamienny fakt: Pomimo, iż Sałtykow zyskał ogromną popularność, utwory jego mniej jednak są znane społeczeństwu ruskiemu, niż płody innych autorów na równi z nim stojących. Jest to objaw nie trudny do wytłomaczenia; powieść

---

Nieruchomy, niby martwy
Żeglarz, — nie! żeglarza mara, —
Na pobladły księżyc patrzy.
A w ponurym, nieruchomym
Jego wzroku, tak jak w wzroku,
Tego męża, co na krzyżu,
Odbijają się obrazy
Wszystkich nędz i bólów życia.

Homunkulus znów na krzyżu
Począł jęczeć: „Całe życie
Nie jest-li okrzykiem strachu?
Czyż przed śmiercią? nie, przed sobą!
Ja, com głosił nowe życie,
Pragnę dzisiaj *niebyt* głosić,
Pragnę żyć, żyć długie lata,
Wszystkie kraje świata obejść
I obwieścić wszystkim ludom
Wzniosłą *śmierci Ewangelię!*“

Ranny wietrzyk zawiał świeżo
Po nad wzgórzem, koło krzyża.
Śród tej strasznej nocy cieniów
Do potężnych postanowień
Homunkula myśl dojrzała,
Ze zwątpienia wzrósłszy gruntu.

A tymczasem zwolna zeszedł
Cichy sen na głowę starca,
Który tuż pod krzyżem leżał.
A w śnie dziwno ma marzenie,
Jawnie słyszy wieść cudowną:
Że zbawienia chwila wkrótce
Dlań nadejdzie, dla wędrowca
Znużonego, że wśród ziemskich
Synów jeden się znajduje,
Utworzony w dziwny sposób,
A którego los powołał,
By w dziedzictwie na swe barki
Wziął nieśmiertelności klątwę,
Straszną klątwę, z którą dotąd
Przez stuleci tyle błądził
Tułacz, żyd z Jerozolimy.

Zbudzon ze snu, ciężko westchnął
Z żalem, że to sen był tylko;
Starzec zwraca się do Munkla
Skarży się, że musi znowu
W dal wędrować, choć tak bardzo
Jest znużony, jako nigdy, —
Że już wstąpił na najwyższe
Pożądania śmierci szczyty.

„Słuchaj!“ Munkel mu odpowie,
„Bardziej, niżli ja, zmęczonym,
Niżli ludzkość, być nie możesz,
Biedny starcze, — a jednakże
Oto błagam cię, uwolnij
Z więzów moje nogi, ręce, —
Tak jest! nie chcę jeszcze umrzeć, —
Raczej *sam* umierać nie chcę;
Pragnę walczyć, działać, w imię
Tej idei, co tej nocy
W mym umyśle się zrodziła.“

„Spocznij, spocznij! Zamilcz, zamilcz!“
Tak przestrzega go Ahaszwer.

„Milczeć? Spocząć?“ — odparł tamten,
„Milczeć będę, kiedy spocznę,
A spoczywać będę w grobie.
Mówić — życiu jest właściwem,
Milczeć — wielkie prawo zmarłych.“
Gdy z pomocą starca Munkel
Uwolniony został z krzyża,
Obaj, milcząc, podążyli
Na skalisty brzeg nadmorski,
Aby zbadać, czy w pobliżu
Niema gdzie jakiego statku,
Coby uwiózł ich daleko
Z tej krainy opuszczonej.
Lecz, jak okiem sięgnąć, przestrzeń
Była pusta. Bez wytchnienia
Kroczy jednak Ahaszwerus,
W ślad, dumając, zdąża tamten.
Naraz oczom obu wązka
Przedstawiła się zatoka
Pośród skał, a tuż w przystani
Nieruchomy statek stoi.
To ów martwy okręt właśnie
Z czarnym masztem i żaglami
Żałobnymi i z człowiekiem
Na pokładzie, w kształcie widma.
Tamten duma. Ale niemy
Starzec i ów cień żeglarza
Zda się, znają się; ich oczy
Spotykają się poufnie.
Stary skinął, by towarzysz
Wszedł na pokład. Ten go słucha.
W szarym brzasku okręt duchów
Cicho odbił od wybrzeża.

(D. n.).

nierównie łatwiej się czyta i wraża w pamięć, niż satyra, a szczególnie Szczedrynowska. Tu trzeba pracować myślą, wczytywać się uważnie w drobniejsze szczegóły, a mają one tem większe znaczenie, iż dotyczą współczesnych braków społeczeństwa, w którem się autor obracał. W ciągu przeszło czterdziesto-letniej swej działalności uderzał on śmiało w struny, najgłośniejszy i najfałszywszy dźwięk wydające. Drażniąc tym fałszem czułe uszy i nerwy, miał na celu zmuszenie do nastrojenia owych strun. Pomimo jednak siły i talentu, nie bardzo wierzył w skuteczność swych środków. Ten pesymizm zgryźliwy, wynikający prawdopodobnie z cierpień fizycznych i moralnych, czasami razi ostrym śmiechem mefistofelewskim. Zobaczmy, jak sam autor ocenia swą działalność: „Pisma moje („Okrągły rok“) do tego stopnia przesiąknięte są współczesnością, tak silnie do niej dopasowane, że jeśli można przypuszczać, iż będą miały jaką wartość w przyszłości, to jedynie jako ilustracya tej współczesności. W innem miejscu („Listy do ciotki“) mówi: „Moja działalność prawie wyłącznie poświęcona jest sprawom na czasie. Być może, iż z punktu wyższego artyzmu działalność ta bardzo jest ograniczoną, ale ponieważ żadnych innych pretensyj nie mam, więc zdaje mi się, iż krytyka również winna oceniać mię tylko z tej strony. Ja nic nie tworzę, nic osobiście mnie dotyczącego nie formułuję, lecz daję tylko to, od czego boleje w danej chwili każde uczciwe serce... *To samo ja zawsze myślałem*—powiada czytelnik — i uważa to co przeczytał, za własne. Nie popełnia on przy tem najmniejszego plagiatu, gdyż istotnie te myśli—jego własne; tak samo ja nie popełniam plagiatu, formułując myśli i uczucia, wzburzające w danej chwili mnie na równi z masą czytającą. Myśli te bowiem i uczucia — także moje własne.“

Słusznie Arseniew w jednej ze swoich prac powiedział: satyra wszędzie i zawsze więcej się zajmuje *poniżającymi* i *krzywdzącymi*, niż *poniżonymi* i *pokrzywdzonymi*. Szczedryn ani na włosek nie odstępuje od tej zasady. Zrozumiał on doskonale, że rdzeń dobra spoczywa we współdziałaniu masy ciemnej i mniejszości inteligentnej, że pierwsza nie powinna być nigdy lekceważoną przez drugą. Zarzucają mu, iż był nieraz przesadnym w satyrze i skutkiem tego często niesprawiedliwym. Bądź co bądź taka *niesprawiedliwość* nigdy szkody nie wyrządzi. Mówiono o nim zdanie, iż walczy nie z dyabłami, tylko z błotem, nie z ludźmi, lecz z okolicznościami i otoczeniem. Piętnuje on zaciekle wszelkie zło, a jest bardzo pobłażliwym dla ludzi, w których to zło się ukrywa, nieraz nieświadomie.

(D. n.).

*Zenon Pietkiewicz.*

## LISTY PETERSBURSKIE.

*Petersburg 4 maja.*

Przypuszczać, że malarstwo może starczyć za naukę i literaturę, znaczyłoby wiek Peryklesa nazywać wiekiem Fidyasza. Weźmy historyczne chwile rozwoju dłuta i pędzla, a ujrzymy, że ich kwiaty rosną na zoranej piórem niwie. Sztywne obrazki chińczyków dowodzą nie braku talentu, lecz myśli. Najświetniejsze szkoły malarstwa w czasach upadku literatury przekształcały się w szablonowe naśladownictwa i pod chorągwią tradycyi dążyły w kierunku Chin; za dowód w tym względzie może służyć szkoła byzantyjska — to też w nowym chramie Zbawiciela w Moskwie, pomimo ogólnych zarysów byzantyjskich, wszystkie obrazy są nowożytne, a tak wdzięczne, że mogą walczyć o pierwszeństwo z okazami najświetniejszych epok Zachodu, albowiem... świątynię wznoszono w czasie rozkwitu literatury. Na tej zasadzie mamy prawo twierdzić, że tutejsze malarstwo, wykwitłe z mózgu Turgieniewa, Gogola, Uspieńskiego — z upadkiem literatury, musi upadać; w istocie tak się i dzieje. W porównaniu z ubiegłemi laty, a nawet z przeszłoroczną, teraźniejsze wystawy są nader biedne.

Malarstwo, jak i poezya, ma jedną stronę, gdzie tanim kosztem można zyskać sławę, mianowicie odtwarzaniem przyrody.

— Tam gdzie poezya styka się z muzyką, rozwój nie ma nic do czynienia! Malarstwo powinnoby o tem pamiętać i nie tak zapamiętale uprawiać owe drzewa, kwiaty, fale, mgły. Bezwątpienia, napawać się ładnymi widokami jest rzeczą wielce przyjemną, lecz widoki są tylko tłem... Uprawa ich, jest hołdem oddawanym duchowi wszechświata w pierwotnych jego tworach — w niższych.

Na obu wystawach sam ogrom wcale dobrych widoków dowodzi, że technika wielce jest rozwinięta, zaś twórczych pomysłów brak zupełny. Na ruchomej z 19-tu obrazów Makowskiego jeden tylko maluczki daje pojęcie o wysokim talecie twórcy: w skromnej izdebce staruszek urzędnik wdziewa strój galowy. Starzec, jego żona i córka — wszyscy trzej tak są zakłopotani, że widz odrazu pojmuje ważność chwili. Cały obrazek nacechowany prostotą, dobrodusznością, ciszą, woła o pióro Gogola — jeden z 19-tu!

Repin dał kilka portretów i tylko jeden obraz—św. Mikołaja, wstrzymującego miecz katowski, co miał upaść na głowy niewinnie skazanych. Najlepiej w tym obrazie udały się postacie osądzonych; postać świętego swą sztywnością każe się domyślać, że za wzór dla artysty służył wizerunek byzantyjski, a kat zupełnie nie udał się: całej jego bezmyślnej masie brak zatrważającej siły— siły głupoty. Z czterech obrazów Klodta najpoetyczniejszym jest „Pustelnik.“

Widoki najlepsze są Szyszkina i Wołkowa; pierwszego z nich wyszczególniają się— „Mgła“ i „Ranek w borze.“ Jeżeli do wspomnianych dodamy „Lipy“ — Briułowa, „Zmrok“ — Wasniecowa, „Staw“—Miasojedowa — możemy i i zakończyć.

Wystawa Akademii sztuk pięknych — co do krajobrazów — znacznie wyżej stoi ilością i jakością. Prym trzyma Kryżycki, za nim dążą Siergiejew, Kondratienko, Mieszczerski i pani Kurjar. Atryganjew w tym roku spuścił z tonu, jednak nie stracił prawa zaliczania się do wybitniejszych. Rodzajowych mniej; wybitniejsze są: Siemiradzkiego „Piraci sprzedający zdobycz,“ Stiepanowa kilka obrazów, profesora Kowalewskiego parę i Bakałowicza — dwa — oba znacznie słabsze niż w przeszłym roku. O bogactwie treści reszty sądźmy z nazw: „Dziad i wnuczek“, „Babka i wnuczka,“ „Włościański chłopak,“ „Włościańska dzieweczka,“ „Ruska dziewoja,“ „Młoda matka,“ „Żydóweczka,“ „Chłopak z wiązką chrustu,“ „Dziewczyna“... i portrety, portrety — bez końca.

Słowianofil Pypin w ostatnim zeszycie *Wiestnika Jewropy* wraca do spraw ogólnosłowiańskich — spraw, które roztrząsał w 1879 r. — i na wstępie powiada:

— Byłoby nader zarozumiałem twierdzić, że Rosya sama, lub naród ruski roztrzygnie kwestyę słowiańską; im dalej, tem więcej ona się gmatwa, z nią łączą się interesy innych narodów i państw; zresztą w samej Rosyi sprawa słowiańska przechodziła rozmaite koleje: to rząd ją popierał, a społeczeństwo ani myślało o tem, to idealiści o niej marzyli, to w łonie samego społeczeństwa kotłowały się wręcz przeciwne poglądy. „O ludzie w tym względzie mówić — napowrót! Horyzont jego w takich kwestyach jest zbyt ciasnym; opierać się na ludzie, jest szarlataństwem, lub mrzonką.“

Dalej p. Pypin stawia nader poważne pytanie: o ile — i czy ruskie społeczeństwo zna słowian?— i zapuszcza się w wieki minione. Bezwątpienia szanowny pisarz w następnych zeszytach miesięcznika dotrze aż do naszych czasów i podobno przekona się, że nawet wiele, tak zwanych, światłych głów błądzi w tym względzie omackiem. Większość dawnej młodzieży szkolnej całą wiedzę historyczną czerpała z podręcznika Ustriałowa, w którym wspomniano pobieżnie o słowianach; taki historyk nie wiele nauczy! Poważniejszy Sołowjew (ojciec filozofa) w swem ogromnem dziele zaznaczył tylko jednego polaka godnego szacunku — Żółkowskiego: buta szlachecka, bezrząd, jezuici — taką jest Polska p. Sołowjewa. Wszystkie ciemne strony uwydatnione, a na światlejsze nie zwrócono uwagi — takim sposobem historyę każdego narodu można uczynić wielce niepopętną i skończyć ogólnym pesymizmem. Trzeba przyznać, że wzajemne sądy o sobie ruskiego i polskiego plemienia częstokroć są niepochlebne; chociaż winnibyśmy pamiętać, że ogólne rodzinne rysy istnieją w wielkich rozmiarach. Obce wpływy: na polski szczep — teutoński, na ruski — tatarski, nie wiele zrobiły różnicy, to też wpływy tatarów i teutonów równoważę i twierdzę, że wszystkie cechy ruskiego narodu istnieją w polskim — i naodwrót. Naród ruski nie różni się od innych słowiańskich szczepów... to też wzajemne narzekania przypominają dwóch garbatych, z których każdy chełpi się, że jest prawie prosty w porównaniu z bratem.

P. Pypin przegląda rozmaite *Kroniki* dawnych czasów, które uczyły Ruś swiątej historyi i zatrzymuje się na *Kronice* Marcina Bielskiego, przetłomaczonej na język ruski (w 1584 r.) z rozporządzenia Zygmunta-Augusta. W owych czasach, było to nader cenne dzieło; jeden z kronikarzy ruskich zaznaczył: „Kto ją przeczyta i zrozumie, będzie znał całą ziemię i wszelką filozoficzną mądrość...“

Zatrzymajmy się z p. Pypinem na chorwacie Križaniczu (ur. 1617 r. um. 1683 r.). Był to pierwszy panslawista w wyższem znaczeniu tego słowa. W 1658 r. z posłem Licharowym wyruszył z Wiednia do Moskwy, lecz zatrzymał się w Małorosyi i zaledwie na początku 1660 r. przybył na miejsce. Prace Križanicza, pisane w tym czasie po rusku i po łacinie, zostały ogłoszone w 1854 r. Był to człek śmiałych i głębokich pomysłów, znał wszystkie języki słowiańskie i krom tego — łaciński, grecki, niemiecki i włoski. Dowodził, że mowa słowiańska jest zepsuta, zgmatwana i prawie zgubiona; uratować ją mogą tylko gramatyka, słownik i język literacki, za osnowę dla którego brał ruski, jako najczystszy; dowodził zaś, że Rosya jest środowiskiem, skąd za Dunaj wyszły trzy plemiona — bułgarzy, serbowie i chorwaci — pod ogólną nazwą słoweńców; a ponieważ grecy i latyni znali tylko ów szczep, więc od niego wszystkich nazwali słowianami, w rzeczywistości był to naród ruski. Drugi szczep, składający się z lachów i czechów wyszedł z ogólnego gniazda na zachód, to też ruskie plemię, jako domorosłe, ma język najprawidłowszy. Bezwątpienia Križanicz nie wiedział o tem, że starożytne *jusy* ocalały tylko w języku polskim, nie wiedział też, że i mieszkańcy starego Nowgorodu i lechici — sami siebie nazywali słowianami, nie przypuszczał, jak dzisiaj to czynią, że Karpaty są kolebką słowian; lecz w każdym razie dowcipną dał teoryę.

Iwan Zabielin, przy badaniach początku słowian, powiada: „Radymicze i wiaticze przyszli od lachów; dawny latopis nie wspomina od jakich lachów i kiedy?.. a nazywa lachami i powiślan i pomorzan i weletów.“ Wątpić o podobnym ruchu nie mamy prawa — możemy tylko zapytać: czy to była

cząstka, co odeszła kiedyś od Rusi i nie znalazłszy dogodnych warunków bytu — wróciła, czy też było to zwykłe wychodźtwo z ziemi lechów we wszystkie strony? Czystość mowy niczego nie dowiedzie. W czasie Križanicza bezwątpienia w ruskim języku była nieznaczna domieszka greckich i tatarskich wyrazów, w polskim i czeskim znaczny był wpływ niemczyzny i łaciny, lecz nic dziwnego! Mając w porównaniu bogatszą literaturę, przy raptownym napływie nieznanych pojęć, musieli brać gotowe wyrazy. Lecz wróćmy do latopisa.

— Wielkiem jest złem—powiada dalej—że tylko szczepy — „udiely“ — ruski, polski i czeski mają swych kronikarzy, ogólnej zaś historyi słowian dotąd niema; niemcy zaś co rok wydając książki, rozprzestrzeniają fałsze. Chcąc zniszczyć owe „niemieckie pyszałkowstwo,“ a nie mając środków na wydanie ksiąg, przyjechał do Rosyi, prosić o wsparcie:

„Bohu i tobie Caru, hospodaru kwoli cześci, a wsemu narodu (wszystkim słowianom) na mnohu polzu i uciechu...“

Tak się tedy przedstawia Križanicz jako historyk.

Przejrzmy niektóre z jego poglądów etyko-politycznych.

Słowian dzielą spory kościelne, lecz trzeba je odrzucić: kłótnia patryarchów konstantynopolskiego i rzymskiego zaszła nie z pobudek religijnych, lecz z żądzy władzy.

„Głupio mieszać się do cudzych sporów; niech grecy i rzymianie obstają przy swych zwierzchnikach, lepiej wysłuchajmy obu stron: starajmy się pogodzić... Jeżeli patryarcha grecki i papież rzymski w walce o pierwszeństwo czynią zatargi, bójki i włóczą siebie za brody, nie powinniśmy brać z nich przykładu: zachowujmy religię, lecz nie podstępy! Z przyczyny bułgarów grecy pierwszy raz zaczęli kląć rzymian, więc jeżeli nasz naród był powodem złego, powinniśmy być powodem dobrego—zwaśnionych pogodzić.“

Największe zło widział w tem, że niemcy i grecy sieją między narodami polskim i ruskim wewnętrzne sprzeczki:

„Wartoby pomyśleć, żeśmy ludzie jednego języka i synowie jednego ojca; dla słowiańskiego państwa nie byłoby większego szczęścia nad zgodę... Wiedzą niemcy i szwedzi, że skorobyśmy się pogodzili, nie łatwoby im utrzymać zagrabione lachom kraje; gdy zaś będziemy wojowali, szwedzi mogą więcej nagrabić... Inni niemcy, co się zowią rzymsko-imperatorskimi od dawnych czasów otwierają paszczę, by zachwycić całą Polskę.“

Na ideę rządu miał pogląd szczególny.

— W skutek bezprawia upadło cesarstwo rzymskie, przez nie „w naszych oczach upada Polska...“

W owych czasach o chytrości polskiego narodu, wymyślonej dziś — na własną pociechę — przez pseudo-katonów, nie słyszano wcale. Križanicz narzeka tylko na poddawanie się obcym wpływom i nierząd:

„Polska nie ma wyższej władzy; dzieli się ona między wielmożnymi, czyli panuje w niej zwierzęcy samorząd — (*licentia bestialis*).“

A jednak, jak charakterystyczne piętno kładzie czas na najwybitniejszych myślicieli: idealny Plato, logiczny Arystoteles nie umieli wyobrazić sobie państwa bez niewolników; Križanicz, obok poważnych zasad, nieraz nazywa wadą to, co dziś nazywamy zaletą. P. Pypin nie wskazuje tych stron latopisa, lecz przypominam, jak, między innemi, narzeka, że ruscy bojarzy noszą odzież podobną do chłopskiej; zaś postęp, podług jego przekonania, wymaga jaknajstaranniejszego podziału warstw, nawet ze strony zewnętrznej.

Łatwo mu przebaczamy ten szczególny pogląd, tembardziej, że i nasze niektóre zasady przyszłym pokoleniom będą się wydawały niedorzecznemi, a nawet barbarzyńskiemi. Przyszłe, cywilizowane pokolenia będą podziwiały naszą zaciętość i chęć sprawiania krzywd. Hartman wyda się im o tyle niedorzecznym, że bezwątpienia nazwą go obłąkanym, tembardziej, jeżeli szkoła Lombroso dowiedzie, że pasma półgeniuszu przeplatają się z pasmami półobłąkania.

*N. B.*

---

## SZTUKA W SŁUŻBIE.

### II.

By zrozumieć jakim przyczynom zawdzięczać należy upadek literatury dramatycznej, musimy sobie uprzytomnić, jak oddziaływają na umysł i duch dramatyczne utwory dawnego pokroju, jakie wrażenie zostawiają dzisiejsze falsyfikaty podobnych utworów i nigdy nie tracić z uwagi skali umysłowych i psychicznych wymagań mieszczaństwa, dla którego wyłącznie istnieje teatr i piszą się „sztuki.“

Historyczny dramat Shakespeare'a uderza nas przedewszystkiem duchowem przeładowaniem wyprowadzonych w nim postaci, ich duchy są zbyt wielkie dla form, które artysta znalazł we współczesnej, lub minionej dobie historycznej. Pewna część nadanych im cech psychicznych była niewątpliwie uzmysłowioną w ludziach żyjących, gdyż drogą samej idealizacyi niepodobna byłoby otrzymać tak plastycznie i skończenie ukształtowanych postaci, jakie w dramatach tych spotykamy. Lecz nad realną treścią ducha unosi się jeszcze wielka idea, wtłoczona pod czaszki tych ludzi przez artystę. Dzieje się to, być może, zupełnie bezwiednie, mimowolnie, iż autor, bez miary hojnie szafując bogactwem własnej duszy, skarbami przez siebie odczutych, pochwyconych lub odgadywanych idej, obdziela niemi szczodrze blade wzorki rzeczywistości. Ludzie, przez niego stworzeni, nie zdają się uświadamiać obecności w sobie wielkiej idei; są oni pełni prostoty, żywi i naturalni, nie wychodzą nigdy ze sfery blizkich i zrozumiałych zadań życiowych, pomimo to każdy krok ich wydaje się milą, każdy cios ręki może zdruzgotać skałę, w każdem działaniu ich skupia się nieskończenie więcej energii i siły, niż wymaga opór postawionej przed nimi przeszkody. Ludzie ci przeraziliby się, gdyby zajrzeli w głąb swojej duszy i zdumieliby się, usłyszawszy, że mowa ich jest mową bogów. Myśli ich są to potoki, które z rozbiegu przeskakują przepaści i płyną korytem w najdroższym kruszcu żłobionem. Słowa ich to metal płynny lub druzgoczące pociski, przelatujące nieskończenie dalej po za cel, w który mierzą. Zdaje nam się ustawicznie, że patrzymy na tytanów, w niczemnej i narzuconej im roli ludzi hamujących takie uczucia i popędy, które rozkiełzane spaliłyby ziemię.

Ryszard III nie jest tylko występnym człowiekiem, jest on jakąś bezmierną niedolą, której dłoń zaciążyła na karku ludzkości, jest jakiemś strasznem nieszczęściem, mroczącem światło jej ducha. Więc i obelgi, któremi Anna nań pluje, lub przekleństwa, które Małgorzata nań miota, nie są to jęki wydarte z jednej rozranionej piersi, lecz przenikający swą zgrozą protest pohańbionej ludzkości. Jakkolwiek jednak olbrzymie są te postacie, ukute jednak zostały z pierwiastków ludzkich, duchowi naszemu dostępnych; nie są to płody rozszalałej, obłąkanej wyobraźni, lecz skupienia wszystkich bólów, wszystkich tęsknot, wszystkich skarg, wszystkich drobniutkich kryształków uczuć i myśli, zagubionych w sercach ludzkiej rzeszy, i wszystkich wielkich idej, które duch ludzki w łonie swem zmieścić usiluje, a których sam może jest tylko oderwaną cząstką.

Otóż w realizmie tego wielkiego i porywająco pięknego ducha, który z uwięzienia swego w postaciach historycznych, lub fantastycznych dobywa się przed oczami naszemi myśli i spowija ją czystem, uzdrawiającem tchnieniem, tkwi pierwiastek psychiczny, niezmiernie ważny, z utęsknieniem przez nas upragniony w wielu chwilach naszego życia, posępnie snującego się po błotnistej i szarej płaszczyźnie. Nóg naszych od tej płaszczyzny oderwać nie możemy, kochamy ją nawet, pomimo, że kolcami rozrania nam dusze, przywykamy do mroku, w którym błądzimy, oswajamy się z głodem ducha, podobnie jak w tysiącach naszych braci znosimy głód ciała i chłostę wielu niezaspokojonych potrzeb, lecz przeklęlibyśmy ją i nie moglibyśmy żyć, gdyby choć niekiedy nie spływały ku nam ciepłe promienie, uwite z ideałów przez nas uświadomionych, i gdyby nam odjęto na poły mgliste, lecz słoneczną jasnością przeświecające, nadzieje.

Te granitowe ducha ludzkiego pomniki, jakie w dziełach Szekspirowskiej miary oglądamy, przemawiają nietylko bezpośrednio do ducha naszego, ryjąc na nim niestarte wrażenie, lecz ustami swych trytonów wyrzucają gorący wrzątek, który oblewa nasze myśli i z odrętwienia je budzi. Zmuszają one nieustannie do refleksyi, do zestawiania pewnych poziomów myśli i uczucia, nie pozwalają oczom naszym ślizgać się po wypolerowanych duszach bohaterów scenicznych, lecz rozdzierając ich pokrycia, pociągają w bezdenny nurt duchowy, zanurzają w takiej jego głębi, iż z obawy zamyka się oczy, przerażone olśniewającą nurtów tych jasnością, lub mrokiem nieprzebitym, który nasuwa myśl o kryjówkach zbójeckich, lub norach dzikiego zwierza. Skala psychicznych wrażeń, jakie otrzymujemy, czytając takie utwory dramatyczne, lub oglądając upostaciowanie ich na scenie, jest tak wysoką, iż gdyby dzisiejszy świat mieszczański ostatniej jej kreski dojrzał, poczułby się oderwanym od rodzimego gruntu z zabiegów materyalnych uwarstwowanego i zroszonego błotnistymi strumykami egoizmu, poczułby się nagle w sferze, z której niema powrotu inną drogą, jak obmierzłej pogardy dla własnej szpetności. Czyż mieszczaństwo może udzielić koncesyi i poręczyć podobnie ryzykowne przedsięwzięcia?

Złudzeń tu być nie może. Wielki *Dewajtis* przeszłości, którego najwspanialszym konarem był Shakespeare, usechł na zabłoconym gruncie. Za biletami można oglądać jego kolosalny pień, na którym cała ludzkość raut dla siebie wyprawić by mogła. Wolno nawet z resztek jego rdzenia wyrabiać spinki do koszuli, ale nigdy już na tym samym gruncie, jeśli go wieki nie osuszą, równie wielki i krzepki dąb nie wyrośnie.

Po drabinie, którą przeszłość dla literatury dramatycznej ustawiła, zejdźmy o kilka szczebli niżej, na platformę Molierowskiej komedyi i przyjrzyjmy się, jak wysoko jeszcze zawieszeni będziemy nad trzęsawiskiem, w którem utonęła literatura, a na którem wypasła się dzisiejsza sztuka dramatyczna.

Otacza nas nieprzeliczony tłum postaci, które z Szekspirowskiemi to mają wspólnego, iż umysły ich i duchy przeładowane są treścią, stanowiącą własny dobytek autora. Olbrzymi, w umyśle jego nagromadzony zapas obserwacyi, streszczający całą dobę współczesną, przekraczał techniczną możność upostaciowania go; ognisty potok myśli satyrycznej poszukiwał dla siebie koryta najgłębszego, wyrazów najsilniejszych, form najbardziej przekonywających; wreszcie ideały jego, nie znajdując dla siebie żywych wcieleń, oblekały się w pierwszą pochwyconą i najlichszą sukienkę, pewne

tego, iż maskarada nie trudna do odgadnięcia żadnej ujmy ich pięknu nie przyniesie. W te same pierwsze lepsze z kołka zdarte odzienia Molière zawijał wspaniałe odłamy myśli, które gwałtem domagały się wypowiedzenia ich żywem słowem i obsadzał je w komedyi, nie troszcząc się o to, iż naruszają estetyczną harmonię jej kształtów. Rzućmy bodaj przelotne spojrzenie na Tartuffe'a. Realny typ tego szalbierza, hipokryty i rozpustnika dźwiga na sobie ideę, która jak obłok przyćmiewała umysły ludzkie i dziś jeszcze mgłą je spowija. Najsprytniejszy oszust, jako taki tylko, nie mógłby hypnotyzować ludzi, niebędących idyotami, a takimi ani Orgon, ani pani Pernelle nie są. Moc tej hypnozy jest miarą nie osobistego sprytu Tartuffe'a, lecz potęgi tej właśnie idei, która, nie wchodząc nawet w jego świadomość, żyje pod czaszką jego z woli Molière'a. Tą właśnie ideą, mieszczącą w sobie program, usypiający myśli i oszczędzający uczucia, hypnotyżuje Tartuffe nie parę ludzi, lecz całe ich rzesze do dziś dnia nie wygasłe, a urok tej hypnozy określa najlepiej sam Orgon, powiadając o Tartuffie, iż jest to człowiek, który

„Trzyma się zasad, w których spokój się zamyka,
I na świat cały patrzy, jak z dymnika."

W Orgonie i p. Pernelle znalazła satyra to, czego poszukuje zawsze, to jest wyrazy najsilniejsze i formy najbardziej przekonywające, jakkolwiek przesadne. Wreszcie Doryna, biedna pokojówka, obdarzona zostaje wszystkiem, czego brak sercom i głowom tych ludzi ogłupiałych, bez woli, bez charakteru i energii; otrzymuje więc sumienie, rozsądek, logikę i odwagę, staje się słońcem, opiekuńczym duchem tych pół-ludzi. Rzecz prosta, iż w tej roli zostać musi postacią idealną, a niekiedy prześcieradłem dla obwijania brylantów myśli i złotej przędzy dowcipu.

Znajdujemy się więc znowu w sferze, gdzie nad głową przelatują nam idee, a przed oczami głęboko rozkrojone dusze i gdzie ćwiczą nas bicze, nierachującej się z delikatnością satyry. Tu więc także miejsce niewłaściwe dla naszego bourgeois, który w głowie swej nosi węzełek geszeftów i nie może na szwank go narażać, otwierając lufty dla myśli, podobnie, jak nie może pozwolić, by gwałtowne uczucie ukręciło korbę tej katarynki, na której jego życie wygrywa mu wesołe walce i skoczne polki.

(D. c. n.)

*F. G. Brodowski.*

## TEATR.

Aleksander Mańkowski. *Dziwak*, komedya w 5 aktach.

Czy publiczności, ustawicznie zgorączkowanej, ciągle łaknącej skoków i błazeństw na scenie, śniącej o rozrywkach wyuzdanej, może podobać się obraz działalności poważnej, wizerunek człowieka rozsądnego? Ludzi, żyjących bez jutra i ładu, a wydających nad stan, razi roztoczony na scenie porządek i rachunkowość, kłuje ich wezwanie do oszczędności, wyrzutem staje się przezorne postępowanie hrabiego.

Pochodzi on z dorobkiewiczów; dziad odziedziczył tylko folwark, lecz pracą dorobił się tak dużego majątku, że kupiony tytuł hrabiowski miał odpowiednie tło w pełnych workach. I syn i wnuk dostali w spuściznie cnoty dziada; żyli uczciwie, porządnie, skromnie, rąk ani na chwilę nie opuszczając bezczynnie. Wnuk doprowadził ów system do doskonałości. Poznawszy wady narodowe, wyleczyli się z nich sami i swych najbliższych, potem przykładem pragnęli zachęcić ogół sąsiadów do naśladownictwa. Lecz tu ich nie zrozumiano. Ład i pracę wzięto za dziwactwo, chęć dorobku za skąpstwo, nieugięte trzymanie się raz zakreślonych zasad i celów za łotrowstwo. Nie zważano na to, że hrabia podniósł rolnictwo, przemysł ożywił, tysiącom ludzi daje utrzymanie, pomnożył dobrobyt całej okolicy, syna i córkę wychował na dzielnych pracowników.

Doboszewicz, szlachcic tuż pod bokiem dziwaka mieszkający, wygraża mu pięścią. On, który obrósł brudem, a lenistwem zrujnował majątek, zgubił siebie, żonę i ośmioro dzieci, ma się jeszcze za lepszego i za szlachetniejszego człowieka od hrabiego. Nie on jeden zresztą żywi takie poglądy.

To też bogacz cierpi, widząc się zapoznanym, lecz cierpienia znosi wytrwale, ufny w lepsze jutro i czystość swych zamiarów. Boleje, lecz rękę pomocną wyciąga tylko tam, gdzie widzi zarodek sił i zdrowia. Na opokę ziarna nie rzuca, za grzech poczytując wszelkie marnotrawstwo. Doboszewicza ratuje tylko dlatego, że żona i córka jego umieją i chcą pracować. Zresztą skorupa lenistwa, obrastająca cielsko tego bankruta, stajała pod gorącem tchnieniem miłości rodzinnej. Jął się on pracy, nie lęka się upokorzeń i choć nie bez walki, zwycięża wreszcie.

Od zasad swych nie chce hrabia odstąpić również wobec dwóch miłości: syna i córki. Pierwszy ukochał Marynię Doboszewicz, druga księcia Jerzego, noszącego we krwi wszelkie zarazki rodzin arystokratycznych. Maryni nie przyjmuje za synowę, gdyż boi się, by lenistwo przodków nie ocknęło się w niej z latami. Jerzego spotyka odmowa z powodów fizyologicznych, wyżej przytoczonych.

Lecz kiedy przekonał się o wytrwałem uczuciu syna i wytrwałej pracy biednej Maryni, ustępuje i udziela młodej parze gorącego błogosławieństwa. Helenka szczęścia zaznać nie może, nie pragnie w końcu, ponieważ przekonała się, że Jerzy polował tylko na jej posag.

Na tle tem potężnieje w pierwszym rzędzie postać hrabiego, odrysowana dokładnie i staranni. P. Mańkowski, ze szkodą całości, nie zapomniał ani o jednym szczególe, ani o jednej scenie, ukazującej widzowi w pełni życie, działalność, charakter i rozum tego bohatera. Tuż obok niego staje Doboszewicz, którego dawniej poznaliśmy jako pana Wojciecha w powieści tegoż miana. Mnóstwo drobnych szczegółów, jak np. ów pałac, budowany parobkami bez budowniczego, są wspólną własnością obu tych bankrutów. Tylko koniec jest odmiennym, jakkolwiak hrabia przepowiada Doboszewiczowi los, jaki w istocie spotyka pana Wojciecha.

Inne osoby są drugorzędne i skreślone szkicowo.

Dwojakiego rodzaju zarzuty podniesiono przeciw *Dziwakowi*. Jedni twierdzą, że jest to traktat ekonomiczny lub kazanie, pozbawione wszelkiej artystycznej wartości, drudzy, patrząc na dotychczasową działalność literacką autora, poczytują mu za winę, że ciągle „bierze wzorki" z jednej i tej samej warstwy społeczeństwa, z obywateli wiejskich.

Zaprzeczyć trudno, że w układzie komedyi niejedno złe się znajduje. Przewaga myśli nad akcyą, przewaga tytułowej postaci nad innemi, są źródłem tych stron ujemnych. Zarzut następny atoli jest wprost śmiesznym. Dlaczego bowiem — pytamy — pisarz, który zna lepiej od innych pewną warstwę społeczną, nie ma należycie wyzyskać wszelkich pomysłów, jakie ona nastręcza? Znajomość taka poręcza właśnie za wiarogodność malowidła i za słuszność ostrej satyry, której w utworach p. Mańkowskiego znajduje się obfity zasób. Pisarze zachowawczego kierunku narzekają zwykle, że beletryści, czerpiący wątek opowiadania z życia szlachty, nie znają dobrze danych stosunków. Ci sami przecież, gdy pojawił się wreszcie autor, któremu braku znawstwa na kark przylepić nie mogą, krzyczą, że niepotrzebnie się on powtarza.

*Dziwak* taki, jakim jest, zasługuje na poklask szczery. Poklask ów należy się i artystom, którzy czując się w szlachetnym żywiole, w czystej atmosferze, grali wybornie. Pp. Leszczyński, Ostrowski i Śliwiński, pp. Barszczewska i Trapszówna, policzą te role do bardzo dobrych w swej działalności scenicznej.

Sceny między hrabią a Doboszewiczem, między hrabią a Marynią grozą prawdy wstrząsały i zapalały tych widzów, którzy czuć i myśleć umieją.

*Adam Nowicki.*

## FEJLETON.

## LIBERUM VETO.

*Lysen ante portas.* — Nasza gotowość do wypraw na cudzoziemców. — Cała inteligencya i pięć pcheł. — Pieśń Tyrteusza. — Los jako główny winowajca. — Szczere wyznania „opryszków międzynarodowych."— Jazonowie belgijscy w naszej Kolchidzie. — Kapitał wymagający i skromny.— Jak dalece podoba się nam teraz chłop. — Wnioski społeczno-cywilizacyjne. — Album przemysłowców warszawskich, czyli kosztowna a bezcelowa komedya. — Wyrok w sprawie Karmińskiego.

*Lysen ante portas!* Trwożliwy ten okrzyk podają sobie dzienniki z ust do ust, wzmacniając coraz bardziej w natężeniu i zaostrzając w tonie. Już to trzeba przyznać naszej prasie, że ona zawsze objawia gotowość do obławy na cudzoziemców. Chociażby swoi popełniali krzyczące nadużycia, chociażby od tych nadużyć chwiały się lub upadały najpożyteczniejsze instytucye, areopag opinii publicznej będzie milczał i zajmując się Raulkiem, psem gadającym, kotem tresowanym, zabawami i teatrem — udawał, że o niczem nie wie. Dopiero gdy ktoś bąknie a często zmyśli, że przyjechał do nas niemiec, który zamierza wyrabiać z szyszek broszki, wtedy wydajemy naprzód ciężkie westchnienie a potem — jeśli to nie skutkuje — przywdziewamy zbroję w obronie przemysłu krajowego. Wprawdzie— o czem nas świeżo upewnia w *Kuryerze warszawskim* ostatni z rycerzy damy, grający ongi rolę Dziewicy Orleańskiej — kiedy przed paru laty ktoś targnął się w krytyce na cześć kobiety, *„cała* inteligencya stanęła jak jeden mąż" w jej obronie; ale w tych słowach jest tyle prawdy, ile np. w twierdzeniu, że pięć pcheł przedstawia *całą* naturę. I wówczas, w owej pamiętnej chwili rozwieszenia szat kapłańskich, które wkrótce odwróciły się szpetną podszewką, niewszystkich „inteligentnych" serc struny drgały hymnem zgrozy. Ale p. Lysen zestroił je w harmonijną orkiestrę. Bo naprzód jest on cudzoziemcem, a powtóre targa się już nie na cześć jakiejś Joanny d'Arc, lecz kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, w której oddawna tkwiły barcie literackie. Pszczoły więc, kąsając niedźwiedzia belgijskiego, bronią nietylko całego boru, ale i własnego miodu. Głównem źródłem popłochu stało się zebranie grona akcyonaryuszów obcych w Brukselli, które przebieg i wynik swych narad ogłosiło w *Cote libre*. Na pomieszczony w tem piśmie wywód tutejsza rada zarządzająca kolei odpowiedziała za ... eczeniem rzetelności twierdzeń p. Lysena, *Kuryer warszawski* zaś pieśnią Tyrteusza wezwał naród akcyonaryuszów krajowych do walki z „opryszkowstwem międzynarodowem" — „na siły fizyczne." Walna bitwa ma być stoczona na ogólnem zgromadzeniu — 24 maja. Niezależnie od jej rezultatu, pozwolę sobie zwrócić uwagę czytelników na jeden punkt, z którego — mojem zdaniem — cały

ten „zamach“ oceniać należy. Mianowicie: czy nawymyślawszy p. Lysenowi i jego „opryszkom,“ poskarżywszy się na los, który w ich ręku „nieopatrznie (los zrobił!) zgromadził część kapitału kolejowego,“ wyczerpaliśmy już przez to winnych? Czy tu niema miejsca na pytanie: czemu nasi kapitaliści nie nabyli w przeważnej liczbie udziałów kolei? Więc my chcemy, ażeby obcy, zakupiwszy je, porzucili spekulacyę, robili jak największe ofiary ze swego interesu dla naszych pięknych oczu? Zaiste, jest to żądanie wysoce naiwne. P. Lysen i sp. mogą kłamać, przekręcać fakty, podrabiać cyfry, mogą popełniać wszystkie grzechy „opryszków międzynarodowych,“ ale nie trudno im odmówić jednej cnoty — szczerości, tej szczerości, której cynizm często budzi dreszcze, zapobiega wszakże złudzeniom i zdziera dyabłom maski aniołów. Chociaż uczestnicy zebrania w Brukselli mieli również naradę „poufną,“ której ech nie puszczono po za granice tajemnej zmowy, i to przecież, co przesłano do *Cote libre*, wystarcza dla poznania ludzi i ich zamiarów. Przewodniczy zgromadzeniu p. Delamarre Didot z Paryża tak przemówił: „Spędziłem kilka miesięcy w Warszawie, aby osobiście zbadać interes. Wyniosłem to przekonanie, podzielone przez najkompetentniejszych techników, iż mamy przed sobą interes *pierwszorzędnej wartości*, długo i niesłusznie lekceważony, może z rozmysłu (i z niedołęztwa!) trzymany systematycznie w półcieniu... Panowie, pracujmy wszyscy na tej niwie... weźmy się wspólnie do dzieła! *Nasz* plon dojrzał i ręczę wam, że *brak nam tylko trochę rąk* do zwiezienia go.“ Zdaje ci się, że to mówią, jeżeli nie istotni pracownicy, to przynajmniej kapitaliści miejscowi — Kronenbergowie, Blochowie, Krasińscy; tymczasem jest to głos belgów i francuzów — Didotów, Lysenów, Dawidów, dla których kolej Warszawsko-Wiedeńska jest ich „niwą“ a jej „godne podziwu rezultaty“ ich „plonami.“ „Jedźcie więc z nami do Warszawy—woła p. Didot — a jeżeli po pierwszej wyprawie wpłynęło do kas akcyonaryuszów, nawet najbardziej upartych, *25 milionów*, druga wyprawa utrwali i może *podwoi* tę przewyżkę.“ Trudno o jadowitszą ironię. Warszawa staje się Kolchidą, do której belgo-francuscy Jazonowie odbywają „wyprawy“ po złote runo, a jej bogacze, którzy potrzebowali tylko ręką po nie sięgnąć, aby zdobyć, przypatrują się smutnie i bezczynnie tej grabieży. I skąd im przypadła ta rola „naszych naiwnych?“ Naprzód z rodowej i tradycyjnej niezdolności do przedsięwzięć finansowych szerszej miary i do opanowywania interesów kraju; powtóre stąd, że nasz kapitał, nawet wielki, ugania się dotąd za zyskami lichwiarskimi i nie nasiąkł do tyla uczuciami obywatelskiemi, ażeby dla stanowisk i wpływów poświęcił nieco ze swych procentów. Koleje, tramwaje były i poniekąd są dla niego pomieszczeniami lichemi, bo nie dają 15—30 lub 40 od sta. Tymczasem pieniądz zagraniczny, obfity i ściśniony w swych spekulacyach na miejscu, zmuszony poprzestawać na odsetkach nizkich, wlewa się do nas chętnie, bo osiąga znacznie wsze zyski. Droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska już dziś przedstawia dobry interes i dla kapitalistów polskich, ale to odkrycie zrobili „opryszkowie międzynarodowi,“ którzy wartość swych udziałów podlicytowali wysoko i nam otworzyli oczy. A teraz stańmy na stanowisku tych „opryszków,“ przyjmijmy ich logikę i etykę, która są logiką i etyką wszystkich spekulantów, wszy ich alchemików nowoczesnego kapitalizmu, pragnącego każdy grosz zamienić szybko i łatwo na dwa lub sto, czy można im się dziwić, że pragną zebrać jak najobfitsze plony z tej „swojej niwy,“ że kolej, że kraj, że my wszyscy wcale ich nie obchodzimy? Nie robią oni nic innego i nic gorszego nad to, co robić każe i pozwala kult cielca złotego i za co przed nim tłumy padają na kolana. Jedno z niemieckich pism humorystycznych przedstawia mającego przybyć do Europy Vanderbildta, który się pyta burmistrza, ile kosztuje Berlin, obok zaś woźny miejski pospiesznie przykleja na pomniku ostrzeżenie z napisem: „nie do sprzedania.“ W tym żarcie mieści się cała filozofia kapitalizmu i... obrona „opryszków międzynarodowych.“

Kiedyż zamrze to straszne przysłowie, które bym jak najprędzej uśmiercić pragnął: „mądry polak po szkodzie!“ Straciwszy olbrzymie sumy, dowiedzieliśmy się od cudzoziemców, że kolej Warszawsko-Wiedeńska jest „znakomitym interesem;“ straciwszy więcej niż pieniądze, przekonaliśmy się, że włościan należało uwłaszczyć. Ta sama szlachta, która jeszcze przed dwudziestu laty nie mogła nic dojrzeć w tym fakcie po za własną szkodą, teraz dochodzi w chwalbach aż do... Niech czytelnik sam nazwie tę granicę. P. Witold Tarcza tak pisze w *Gazecie rolniczej*: „Lud nasz kształci się sam, żadne złe i dodatnie wpływy nie robią na nim *najmniejszego* wrażenia, i dlatego może właśnie jest on tak silny. Kształcą go warunki ekonomiczne kraju, kształcą doznane zawody, próby, wyzyskiwania i prześladowania; tylko dzieci nasze uczą się z książek i z otoczenia, ale nasi chłopi uczą się z własnych zapatrywań i z własnego doświadczenia. Kto zaś jest szczęśliwszym i silniejszym obecnie, czy my, niby mądrzy, czy oni, niby głupi i ciemni, *to jeszcze wielkie pytanie*.“ Wyciągnijmy z tych słów uprawnione wnioski. Więc naprzód, ponieważ szczęście i siłę (rozumie się nietylko fizyczną) można uznać za pierwszorzędne dobro życia, nadto ponieważ chłopa nikt i nic nie kształci, przeto należy: zamknąć szkoły, zawiesić wydawnictwa ludowe, wyrzec się wszelkich wpływów i krzewień oświaty, gdyż są to trudy stracone i szkodliwe. Powtóre, ponieważ takie zupełne odosobnienie się od kultury daje „szczęście i siłę,“ przeto należy od niej również odsunąć szlachtę, wogóle większych właścicieli ziemskich. Szczerze mówiąc, byłaby to operacya niezbyt ciężka. Bo jeżeli autor twierdzi, że lud „nie zna gramatyki, literatury i ekonomii politycznej,“ zczem mu jest bardzo dobrze, to sądzę, że niewiele znalazłoby się głów śród „inteligencyi,“ z którychby potrzeba było wyrzucać obfite zapasy tej wiedzy. Słowem, droga, prowadząca naszą wieś do siły i szczęścia jest tak krótką, prostą i łatwą, że tylko dziwić się można, dlaczego jej dotąd wszyscy powołani nie przebyli.

Krótszą jest chyba jedynie ścieżka, prowadząca naszych przemysłowców do sławy. Od pewnego czasu zaczęły się pojawiać w prasie codziennej obszerne i chwalcze ich życiorysy, stanowiące ustępy jakiegoś „Albumu“ a zamieszczane w ogłoszeniach płatnych. Że znalazł się Plutarch, który za pieniądze wije wieńce wawrzynowe dla tych mężów — to mnie wcale nie dziwi, gdyż — jak mówili nasi przodkowie — „za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze ludzie podli.“ Ale że ten fabrykant panegiryków znalazł nabywców dla swych wyrobów i to między ludźmi rozumnymi, między naczelnikami firm poważnych— to jest zdumiewającem. Bo naprzód po co im ta kosztowna farsa, a powtóre, kogo oni za drogie pieniądze okłamują? Siebie nie, publiczność — również. Każdy wie, że „artykuły nadesłane“ w ogłoszeniach są płatnemi reklamami. Wyznaję, że wolałbym tych kilkaset rubli dać koloniom letnim, niż je spalić dla okadzenia samego siebie. Jedno z pism, służących za trybularze w tym humorystycznym obrządku, podtrzymało nawet przejrzystą zasłonę tej mistyfikacyi i doniosło, że autor „Albumu przemysłowców warszawskich“ *gromadzi materyały* do podobnego „Albumu kupców.“ Jak tu należy rozumieć „gromadzenie materyałów“— każdy łatwo się domyśli.

Sąd okręgowy rozstrzygnął sprawę b. studenta Karmińskiego, który zwabiwszy do siebie inkasenta bankierskiego pod pozorem zmiany pieniędzy, usiłował go zabić, a jak on sam się tłomaczy — tylko ograbić. Tłomaczenie to uwzględniono i skazano go na utratę praw stanu i osiedlenie w odleglejszych miejscach Syberyi. Ponury i smutny to był obraz, który się przedstawił w odsłoniętem życiu przestępcy. Młodzieniec uczciwy a biedny walczy o byt wytrwale, ale ciągle odnosi porażki. Dwa razy zostaje wydalony z uniwersytetu za nieopłacenie wpisu. Nareszcie postanawia: ukraść pieniądze, uciec z niemi, a dorobiwszy się majątku, zwrócić je wraz z procentami właścicielowi. Droga to znana i niejeden już Robinson na nią wstępował. Słuchając opowieści o tych bohaterach złapanych i niezłapanych, pytamy zawsze: czemuż ludzie nie mają pola dla pracy uczciwej, jeśli przez nią istnieć pragną? Ileż by ona rozwiązała zagadnień, usunęła bolesnych dramatów i ciężkich zbrodni?

*Poseł Prawdy.*

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Ministeryum** spraw wewnętrznych po śmierci hr. Tołstoja przeszło pod zarząd p. Durnowo, sekretarza stanu.

**W dalszym ciągu** wykupu obligacyj dróg żelaznych ruskich wypuszczono nową 4% pożyczkę na sumę 310,498,000.

**Spadki po cudzoziemcach.** Wskutek wynikłych wątpliwości Rada państwa wyjaśniła, że od majątków ruchomych i nieruchomych, należących do zmarłych cudzoziemców, a dziedziczonych następnie przez obcych poddanych lub też tutejszych, wszelkie opłaty skarbowe ściągane być powinny na tych samych zasadach, co i od spadków poddanych ruskich. Jeżeli majątek na mocy istniejących przepisów, oddawany jest do rozporządzenia dyplomatycznego lub konsularnego agenta państwa, którego zmarły był poddanym, podatek z majątku wniesiony być powinien przy przyjmowaniu go przez osoby powyższe. W razie śmierci poddanego obcego w Warszawie, pp. komisarze cyrkułowi obowiązani są natychmiast (nie później jak w dwudziestu cztery godziny) zawiadamiać właściwego konsula z dołączeniem wskazówek o pozostałym majątku, krewnych zmarłego itp., a w razie jeżeli konsul danego państwa nie rezyduje w Warszawie, szczegóły powyższe dostarczane być mają p. oberpolicmajstrowi. Jednocześnie o śmierci i pozostałym majątku ma być zawiadomiony sędzia pokoju właściwego rewiru.

**Kasy.** W głównym zarządzie poczt i telegrafów opracowywany jest projekt kas pożyczkowo-oszczędnościowych przy wszystkich instytucyach pocztowo-telegraficznych w całem państwie.

**Bezpłatne kształcenie.** Ministeryum wychowania publicznego wyjaśniło, że wszystkim urzędującym w średnich zakładach naukowych żeńskich służy prawo bezpłatnego kształcenia córek w takichże zakładach.

**Giełdy zbożowe.** Ministerya dóbr państwa i skarbu rozpoznają sprawę utworzenia w państwie giełd zbożowych, oraz zaprowadzenia sprzedaży zboża na wagę.

**Wystawa.** W Lublinie 19 b. m. odbędzie się wystawa koni włościańskich.

**W Dąbrowie** właściciele kopalń, prócz stałego zasiłku na rzecz powstającej szkoły górniczej, postanowili wspólnemi siłami utworzyć kilka stypendyów dla uczniów niezamożnych. Czynią się także przygotowania do wykończenia gmachu szkolnego.

**Zakopane** nabył na licytacyi Władysław hr. Zamojski.

**Akcyza.** Ministeryum skarbu opracowało projekt podniesienia akcyzy od win, wychodząc z zasady, że teraz ciężar akcyzy podnoszą głównie klasy uboższe, spożywające wódkę.

**Ograniczenie.** Ministeryum spraw wewnętrznych poleciło okólnikiem nie dopuszczać starozakonnych do zarządzania okręgami wojskowo-końskimi.

**Języki starożytne.** Przy ministeryum oświaty utworzono specyalną komisyę, mającą się zająć rozpatrzeniem sprawy udzielania w szkołach języków starożytnych.

**Gazeta policyjna.** *Kur. warsz.* donosi, iż p. Oberpolicmajster warszawski występuje z wnioskiem zreformowania wychodzącej przy zarządzie policyi gazety. Ma być rozszerzony program tego pisma, w celu zrobienia go poczytniejszem przez wprowadzenie działu literackiego. W tym celu podjęto już starania o pozyskanie zdolnych współpracowników, znających dobrze języki ruski i polski.

**P. Sarnecki** prostuje podaną przez kilka pism a zmyśloną pogłoskę, jakoby miał się usunąć od redakcyi *Świata* (w Krakowie) i założyć inne pismo.

**Bibliografia.** A. Krechowiecki, *Veto*, powieść w 4 tomach, Kraków.

— H. Nusbaum, *Historya żydów*, tom III, Warszawa.

— Dr. A. Pajewski, *Ciechocinek* w r. 1888, Warszawa.

— Dr. J. Tchórznicki, *Uwagi nad ustawą szpitalną* Król. Pols. z r. 1842, Warszawa.

— A. Pawłowski, *Wagonnyj wopros w Rossii*, Witebsk.

**Departament** dochodów niestałych, wskutek podniesionej przez jedną z izb skarbowych sprawy, czy do dzierżawy propinacyi na ziemiach włościańskich mogą być dopuszczani poddani zagraniczni, którzy otrzymali tymczasowe świadectwa pięcioletnie na prawo zamieszkiwania, odpowiedział, iż ministeryum skarbu po porozumieniu się z ministeryum spraw wewnętrznych, udzieliło odmownej odpowiedzi.

**Znaczne nadużycia** odkryto w urzędzie celnym w Tryeście. Pięciu urzędników aresztowano, a bardzo wielu kupców jest w tę sprawę zawikłanych. Strata dla kasy celnej bardzo znaczna. Nadużycia trwały już od lat kilku.

**Taryfy wodne.** W ministeryum komunikacyi podniesiono projekt przejrzenia taryf wodnych na wszystkich rzekach spławnych w Królestwie. Zebrane będą wiadomości, jakie opłaty ściągane są za przewóz zboża, chemikalij, towarów surowych itd. przez właścicieli statków parowych i berlinek, na jakich zasadach stawki są obliczane, czy są niższe z biegiem wody, a wyższe w górę rzeki. Wszystkie powyższe szczegóły służyć mają do ułożenia normalnej taryfy dla komunikacyi wodnej.

**Kumys.** Departament lekarski projektuje oddanie wszystkich zakładów kumysowych pod stały nadzór lekarski.

**Spółka owocowa,** utworzona w roku przeszłym w Warszawie, rozwija się pomyślnie. Obecnie — jak donosi *Kur. codz.* — liczba uczestników powiększyła się o kilku właścicieli sadów prowincyonalnych, którzy uznali za korzystniejsze przystąpić do spółki, niż wypuścić ogrody w dzierżawę.

**Kara administracyjna.** Rada państwa, jak donosi *Graždanin*, uchwaliła zakwalifikować do kary administracyjnej, bez oddawania pod sąd, wszystkich pociągniętych do odpowiedzialności w sprawie rozbicia się pociągu Cesarskiego. Uchwała ta dotyczy winnych drugiej kategoryi; co do pierwszej bowiem, czyli co do admirała Possieta i bar. Szerwala, takież postanowienie zapadło już poprzednio.

**Wypadek.** Pod N. Gieorgiewskiem przewróciła się na Wiśle łódź, mieszcząca 61 żołnierzy, z których 45 utonęło.

## Ogłoszenia.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Мая 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.